Nr. 8. Poznań, Niedziela 20go Maja 1894 r. Rok

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. H. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

SPRAWY EKONOMICZNE.

Znaczenie handlowe wychodźtwa.

Czytaliśmy nieraz w pismach artykuły, luźne wzmianki lub poważniejsze referaty o konieczności szukania dla przemysłu naszego nowych rynków zbytu. Wynajdywanie tych rynków odbywało się i odbywa na oślep, jest zwykle dziełem przypadku, nie zaś planowych poszukiwań, jak być powinno. Brak przedsiębiorczości, jest to dobrze znana wada naszych kupców i przemysłowców. Niema więc w tem nic dziwnego, że dotychczas nie zwrócili uwagi na te kraje, które dla licznych gałęzi przemysłu zapewniały zbyt, niewielki może na razie, ale pewny. Jest bowiem rzeczą powszechnie znaną, że emigranci w nowych krajach zachowują przez długi czas dawne obyczaje, przyzwyczajenia, nawet narzędzia, odzież i t. p. Zdaniem takich kompetentnych autorów, jak Roscher, Janasch, Levasseur, ten konserwatyzm obyczajowy jest jedną z głównych przyczyn olbrzymiego rozwoju przemysłu angielskiego. Wprawdzie anglicy są bardziej niż inne narody konserwatywni pod tym względem, można wszakże powiedzieć, że uporczywe trzymanie się dawnych przyzwyczajeń jest powszechną właściwością natury ludzkiej i że z właściwości tej przemysł i handel powinny umiejętnie korzystać. Zapewne, że warunki odmienne wytworzą z biegiem czasu nowe przyzwyczajenia, ale proces ten odbywa się dosyć wolno, a przemysł i handel nigdy nie działają na długą metę. Zresztą są wyroby przemysłu, na które warunki najbardziej różnorodne prawie żadnego wpływu nie mają, a których pokup zależnym jest w znacznej mierze od przyzwyczajenia, gustów i t. d. Weźmy n. p. zwyczajne chustki bawełniane, które noszą u nas chłopki. Może nie każdemu wiadomo, że kolory i rysunek tych chustek bywają rozmaite w różnych miejscowościach kraju, że chustki poszukiwane n. p. pod Łowiczem, nie znajdą zbytu na Kujawach. Trudno przypuścić, żeby kolonistki w Brazylii wyrzekły się zwyczaju noszenia chustek na głowie, lub chętnie nosiły zupełnie odmienne chustki niemieckie, kiedy ich ojcowie, bracia i mężowie nie zarzucili nieodpowiedniej odzieży i sieją na urodzajnej ziemi brazylijskiej żyto, jak na mazurskich piaskach... Słusznie mówi dr. Ungar w referacie, odczytanym na zjeździe prawników i ekonomistów, że: „Dotąd zajmowano się u nas wychodźtwem jedynie ze stanowiska filantropijnego i na tej podstawie usiłowano wytworzyć pewną łączność wzajemną. Nie zwrócono jednak wcale na to uwagi, iż w wychodźtwie naszem leży pewna energia ekonomiczna, która, należycie wyzyskana w interesach ekonomicznych, oddać może wielkie usługi tak metropolii, jak i samym wychodźcom i stać się podstawą trwałej łączności i wzajemnych stosunków między starym krajem i koloniami.“

Za pomocą wychodźtwa osiągnąć można korzyści ekonomiczne, co najmniej równoważące te wątpliwe nieraz straty, jakie społeczeństwo ponosi wskutek ubytku ludności, można bowiem zawiązać z rozmaitymi krajami trwałe stosunki przemysłowe i handlowe.

Stosunki te miałyby znaczną doniosłość nie tylko dla wywozu ale i dla przywozu, od którego znaczny haracz kraj nasz płaci pośrednikom handlowym, przeważnie Niemcom. Domy handlowe niemieckie, rozrzucone po całym świecie, znakomicie przyczyniły się do nader szybkiego rozwoju handlu i przemysłu ojczystego. My dotychczas prawie nie mamy stosunków bezpośrednich z krajami zamorskimi, z których sprowadzamy rozmaite towary. Dopiero w ostatnich czasach powstały dwa domy handlowe Grabowicza w New-Yorku i Baytla w Chicago, które podobno robią dosyć znaczne obroty.

Przypadkowe, prywatne usiłowania, jak świadczy referat dr. Ungara, dawały często wyborne rezultaty. Przed trzema laty pewien emigrant z Warszawy przywiózł do Brazylii parę skrzyń obuwia i pomimo nieznajomości stosunków sprzedał je z wybornym zyskiem, co nie jest wcale dziwnem wobec tego, że para butów kosztuje tam od 8 do 11 dolarów, a za obuwie porządne płacą znacznie drożej. Czytaliśmy niedawno w dziennikach ruskich, że jeden z kupców petersburskich wysłał do Brazylii na próbę niewielką partyę tanich tkanin bawełnianych i grubo na tem zarobił. Rzecz jasna, że jeśli usiłowania osobiste, przypadkowe powiodły się zupełnie, to działalność porządnie zorganizowana wydałaby daleko lepsze rezultaty.

Stotysięczna ludność kolonji polskich w Brazylii przedstawia dostateczną ilość nabywców, ażeby opłaciło się zawiązanie z nią stosunków handlowych, tembardziej, że w Brazylii nie ma prawie żadnego przemysłu, że więc kraj ten przedstawia w ogóle rynek obiecujący. W brazylijskim stanie Rio Grande do Sul mieszka około 180,000 Niemców, a do głównego portu w tej prowincyi (Porto Allegre) już w 1885 r. przywieziono za 18 milionów marek towarów niemieckich, do całej Brazylii zaś za 100 milionów marek. Konsumentami sprowadzanych z Niemiec towarów są przeważnie emigranci niemieccy, a teraz zapewne i nasi.

Ci ostatni w listach, pisanych do osób prywatnych, a czasem do dzienników, zachęcają do zawiązywania stosunków handlowych i twierdzą, że takie wyroby, jak obuwie, płótno, sukna i korty, chusty bawełniane, perkale, likiery, wódki i t. d. miałyby zbyt pewny. Dodać tu można książki, zwłaszcza książki do nabożeństwa, obrazy religijne i inne, medaliki, t. zw. „chłopską galanteryę“, i t. p. Bliższe rozejrzenie się w warunkach miejscowych pozwoliłoby wskazać wiele innych wyrobów odpowiednich, trudno nawet czasem przewidzieć, co pokup znaleźć może. W r. z. sprowadzono n. p. do Stanów Zjednoczonych z Warszawy stosunkowo znaczne partye miodu, który na miejscu nie wielu ma dziś amatorów.

Zawiązanie stosunków handlowych nie przedstawia żadnych trudności. Kilku lub kilkunastu przemysłowców, zamożnych rzemieślników i kupców z łatwością mogłoby wysłać na koszt wspólny inteligentnego i obrotnego agenta lub agentów z niewielkiemi partyami towarów, których zbytu spodziewać się można. Z pewnością zyski pokryły by koszta tej wyprawy i dały inicyatorom odpowiedni procent, od kapitału w gotówce wydanej na drogę i w towarze. W najgorszym razie dla kilku zamożnych firm ryzyko byłoby bardzo małe. Przewóz towarów kosztuje niewiele: z Hamburga do Paranaguy (główny port stanu Parana, w którym przeważnie mieszkają nasi emigranci) płaci się za metr sześcienny miejsca na okręcie 20 marek. Jednocześnie taka wyprawa handlowa powinna zbadać warunki handlu kawą, której głównie Brazylia dostarcza. Jak nas zapewniały osoby ze stosunkami brazylijskimi dosyć obeznane, kawa nabyta wprost w t. zw. fabrykach, a właściwie sortowniach i w znacznej ilości sprowadzona wypadłaby kupcom naszym o $1/3$ taniej od cen dotychczas płaconych. Warunki zaś handlu kawą są bardzo łatwe i dogodne, towar n. p. dostawać można na kredyt, płaci się dopiero przy odbiorze w porcie, brazylijscy handlarze kawą wolą podobno transakcye na kredyt w walucie europejskiej, miejscowa waluta bowiem wciąż w górę lub — co częściej — na dół skacze.

Handel i przemysł niemiecki swój rozwój zawdzięczają w znacznej mierze towarzystwom handlowo-geograficznym. Najważniejszą z tych instytucyj jest berliński „Centralverein für Handelsgeographie und Förderung deutscher

Interessen im Auslande." Na czele tego związku stoi wyborny znawca stosunków kolonialnych dr. Janasch. Podobne towarzystwa istnieją w Lipsku, Hamburgu i t. d., a po całym świecie mają swe filie. Kupcom i przemysłowcom wyświadczają takie towarzystwa wielkie usługi, dostarczają im bowiem dokładnych informacyj o stosunkach zamorskich. Podobne towarzystwo powstaje obecnie we Lwowie...

Wiemy o tem, że zawiązanie stosunków handlowych przedstawia też pewne, dosyć nawet poważne trudności. Czynione kilkakrotnie dawniej próby skończyły się niepomyślnie dla inicyatorów. Pośród wychodźców, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, trudno było znaleźć odpowiednich komisyonerów i agentów, inteligentni emigranci bowiem zwykle nie dawali gwarancyi moralnych. Obecnie jednak jest dużo lepiej, powstały bowiem na gruncie amerykańskim dosyć poważne firmy, poziom moralny wychodźctwa inteligentnego podniósł się, zresztą znajdą się już ludzie w Ameryce urodzeni i wykształceni. Agenci, wysyłani z kraju, nie znają znowu stosunków i nie wiedzą, gdzie szukać informacyj, dostarczanie więc informacyj jest sprawą nader ważną. Nie są to jednak, jak widzimy, trudności niezwalczone, owszem, przy odrobinie energii i dobrej woli, przy chętnej i umiejętnej pomocy, jakiej towarzystwo handlowo-geograficzne dostarczy, pokonać je łatwo. W każdym zaś razie łatwy czy trudny do zdobycia rynek brazylijski okaże się daleko korzystniejszym dla naszego przemysłu, aniżeli te rynki azyatyckie, o których niedawno gorliwie rozprawiano.

Trzeba tylko sprobować, co tem łatwiej przyjść powinno, że nie wiele będzie to kosztowało. A oprócz brazylijskiego nie jeden taki rynek udało by się znaleźć, bo wychodźcy nasi tworzą już dosyć liczne grupy w wielu krajach zamorskich, nie mówiąc o Stanach Zjednoczonych, do których, jak się okazało, wywóz jest również możliwym. *J. P.*

Socyalizm agrarny
w Węgrzech.

Od niejakiego czasu badamy pilnie kwestyę, nie dającą się ściśle określić, ani ze stanowiska socyalnego, ani też ze stanowiska politycznego, — tą kwestyą jest socyalizm agrarny. Występuje on z dniem każdym coraz jawniej, a widząc jego szybkie postępy — przewidujemy niebezpieczne starcia. Widzieliśmy niedawno z jaką olbrzymią siłą wystąpił socyalizm argrarny w Sycylii, a teraz objawy jego widzimy w Węgrzech w mieście Vasarhely. Rozruchy agrarne w Vasarhely wywołały żywą dyskusyę w całej prasie europejskiej, gdyż rzucają jaskrawe światło na stosunki, rozwijające się w cichości w monarchii węgiersko-austryackiej. Rewolucya socyalistów agrarnych jest tem ciekawsza — że nie ma żadnego piętna narodowego, w chwili bowiem, gdy Węgry całe zdobiły się w świąteczne szaty ku uczczeniu pamięci Kossuta — rewolucyoniści niżu węgierskiego zniszczyli portret swego dyktatora. Dla uzupełnienia dodać należy, że rozszalała tłuszcza nie lepiej uczyniła z portretem cesarza — gdy dotarłszy do sali obrad magistratu — zrzuciła go ze ściany i podeptała. Tak więc żywioł ten lekceważy sobie cesarza, dawnego dyktatora i narodowość — a całą swą nienawiść zwraca przeciw wielkim właścicielom, latifundja ich uważając za sprzeciwiające się prawom boskim i prawom natury. Gdy dnia 19 marca, jak zazwyczaj, obchodzono w Vasarhely rocznicę otrzymanej konstytucyi r. 1848, niejakiś Piotr Kowez, przewódzca partyi socyalistyczno-agrarnej oświadczył publicznie przy grzmiących oklaskach swych sprzymierzeńców, że „uroczystości nie obchodzi, gdyż ojczyzny nie ma; ojczyznę mają ci tylko — co posiadają jakąś własność, on zaś żadnej nie posiada."

Ów Kowez, prawdziwie Herkulesowej postaci, budzący przestrach i obawę, owładnął całkiem umysłami tłumu — stał się dlań bożyszczem.

W celu rozszerzenia propagandy socyalistycznej i rozsyłania agitatorów, opodatkował on członków stowarzyszenia socyalistyczno-agrarnego, z których każdy płaci do wspólnej kasy po kilka krajcarów tygodniowo. Przewódzca odbiera utrzymanie w naturaliach i stałą pensyę, wynoszącą 280 guldenów. Widząc, że sprawa groźne przybiera rozmiary, władza miejscowa pociągnęła Koweca do odpowiedzialności. Wówczas Kowez wygłosił swą naiwną doktrynę w następujący sposób: „Ja i moi zwolennicy nie mamy ojczyzny, obszary dworskie uważamy za nielegalne i użyjemy wszelkich środków, żeby znieść je. Rośniemy w potęgę z dniem każdym, gdy będziemy dość silni — wtenczas zniesiemy podatki, — wojska żadnego nie chcemy — jesteśmy ludźmi pożytecznymi — powiesimy tych — co nie pracują."

Zarządzono rewizyę w domu Koweza, a znalazłszy tamże różne papiery, dowodzące aż nadto istnienia spisku i porozumiewania się z socyalistami w Budapeszcie — skonfiskowano je i spalono. Wkrótce potem, następnej niedzieli, udał się Kowez z towarzyszami na ratusz w celu zażądania zwrotu papierów. Wszedł sam najpierw do sali i oznajmił urzędnikom cel swego przybycia. Gdy mu jednakże odmówiono żądanych papierów i zagrożono więzieniem — wówczas poskoczył ku oknu i zawołał: „Bracia, zamierzają mnie uwięzić." Na okrzyk ten zbiegli się ze wszech stron sprzymierzeńcy, zburzyli dziedziniec, wtargnęli do ratusza, przewrócili w sali wszystko do góry nogami i uwolnili swego prowodyra. Zrekwirowano siłę zbrojną, ponieważ okazało się, że żandarmerya, w której służył niegdyś Kowez, knowała z buntownikami. Zawezwane wojsko przybyło, natarło na rewolucyonistów i, położywszy pewną ich ilość trupem, bunt uśmierzyło.

Podobne zamięszania panują nietylko w Vasarhely, ale w całym niżu Dunajsko-Cisańskim, który niegdyś uchodził za „śpiżarnię środkowej Europy."

Pierwsza przyczyna tego rozstroju jest zniżka cen zbożowych, spowodowana konkurencyą z Rosyą i krajami zamorskimi — druga zaś — pochłanianie małych posiadłości przez obszary dworskie, obejmujące przeszło tysiąc jochów, lub nawet kilka mil kwadratowych. Podobnych rozruchów socyalistyczno-agrarnych spodziewać się możemy nietylko w Węgrzech, ale i w innych krajach koronnych monarchii austryacko-węgierskiej — w których latifundia przemagają nad małą własnością. *K.*

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej:

„Narodni Listy," główny organ stronnictwa młodoczeskiego takie poświęca uwagi kwestyi śląskiej w Austryi.

„Dwa kraje względnie nieduże są miejscami bardzo drażliwemi dla dzisiejszego rządu koalicyjnego.; Śląsk i Bukowina. W dwóch tych krajach stronnictwa, wchodzące w skład większości koalicyjnej, chcąc niechcąc, znajdują się w zapasach między sobą, bo bronią tam interesów własnych jedno przeciw drugiemu. Dla nas Czechów ma kwestya śląska znaczenie nieposlednie. Czesi śląscy przekraczają granicę Austryi i wchodzą klinem w Niemcy, spojeni terytoryalnie z niemi mają oni więcej widoków utrzymania się przy narodowości, aniżeli od świata słowiańskiego, od Polaków odcięci Serbowie łużyccy, lub Kaszubi.

2)

Dr. PIOTR.

NOWELLA,

przez

Stefana Żeromskiego.

(Ciąg dalszy.)

Dziedzictwo dopiero jest znamieniem człowieczeństwa; przez nie, razem z owocami pracy, pozostawia synowi ojciec owoce swych wrażeń, pojęć, rozwagi, odkryć i domysłów, wszystkiego słowem, co mógł nabyć długoletniem doświadczeniem. Syn od punktu, w którym się ojciec zatrzymał, postępuje i sięga dalej na drodze bogactwa inteligencyi, a tym porządkiem praca przechodzi z rąk do rąk, gromadzi się, rozwija, opiera jedna na drugiej i formuje piedestał, na którym wznosi się coraz wyżej — cywilizacya. W rosnącym postępie społeczeństwa jeżeli kto raz utraci wątek, już go niepodobna pochwycić i, jeżeli ojciec był niedołężnym w pracy, syn cierpi za winy niepopełnione, a nieszczęście z krwią się przekazuje. Dziedzictwo trzyma dzieci w obrębie progów domowych i zaspakaja ostatnią i dla tego może tak wielką i gwałtowną namiętność starości, namiętność obcowania z potomkami...

— Ja to wszystko straciłem, — szepcze pan Dominik, ściskając sobie skronie, — i straciłem na zawsze! Głos starości woła na mnie o ducha i krew, a ja jestem jak rzeźbiarz, od którego żądają w terminie skończonego posągu, podczas gdy on, prócz idealnego w duszy obrazu, niema ani garści gliny. Osiemnastoletniego wyrostka puściłem bez grosza, samopas za granicę, — nie śledziłem jego myśli, ani badałem kroków, — cóż dziwnego, że wyrósł na obcego mym wyobrażeniom, na nowożytnego człowieka. Czemże ja go przyciągnę? Miłością, śmiertelną tęsknotą?.... Co nas łączy? Nazwisko chyba, które on po nowomodnemu lekce sobie waży. To nowoczesny człowiek: uczyni ze sobą co chce i jak chce. Za moich czasów syn był w ręku ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi. Nie zasmucił ojca, żywą, bo wisiało nad nim twarde i mocne, niepisane prawo. Teraz ono rozwiązane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Spieszą po twardym gościńcu w skwarze i znużeniu, zdaje im się bowiem, że na najbliższem wzgórzu tej drogi, leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska, pokazując, że ta nadzieja czczem jest mamidłem. Ich nic nie wstrzyma, to też w duszach ich niema „miękkich włókien" czułości. Słabych i nikczemnych mieli ojców! Ach, wielka nasza wina, ale czyż nasza tylko? My, członkowie szeroko rozpostartej rodziny szlacheckiej, stanowiliśmy odrębną społeczność, byliśmy cennem zbożem, rosnącem na pocie tłumu, jak na nawozie. Czy nie tworzyliśmy postępu, nie piastowali cywilizacyi, nie rozwijali prawidłowo naszej myśli? Duch czasu wsiał nas w gminy, jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiał w pole nędznej wyki. Rozbiliśmy się na jednostki, zwyrodnieli i zgoła znikli.

Cóż z tego, że ja przystosowałem się, że poszedłem na służbę do pierwszego lepszego bękarta losu, do syna jakiegoś przekupnia, do parweniusza, który rozmaitemi protekcyami, stypendyami z lewej ręki, pokornem całowaniem mankietów, doszedł do dyplomu inżyniera i możności zgarniania pieniędzy na torach kolejowych. Co z tego, że, zdławiwszy w sobie obrzydzenie, wsiadłem na karuzelę pojęć nowoczesnych. Nie przestałem być sobą i nie zostałem mieszczuchem. Co stokroć gorsza, nie rozumiem mego syna, nigdy nie będę godnym jego współczucia, jego, co jest jedyną na całym szerokim świecie istotą z mojej krwi. I nic się już nie zdarzy w tym plugawem życiu, oprócz jednego wypadku, godnego uwagi, oprócz śmierci. Piotruś pojedzie do Anglii. To znaczy, że gdy ja będę umierał, gdy ktoś litościwy wezwie go telegraficznie, on, przy największym

„Dalej jeżeli sobie uprzytomnimy jak fatalne panują na polu szkolnictwa śląskiego dla Czechów stosunki, oraz, jak wadliwą jest organizacya kościelna, to tem więcej znajdujemy powodów, aby publiczności czesko-słowiańskiej na kęs tej naszej ziemi zwracać uwagę.

„W obszernych artykułach i korespondencyach ze Śląska omawialiśmy stosunki tamtejsze, zwracając uwagę na niechęć — że ostrzejszego wyrazu nie użyjemy, — jaką naszym ziomkom na Ślązku okazywali Polacy, a nadto podnosząc potrzebę wspólnej obrony przeciw postępowi germanizacyi.

„Jeżeli rozważymy, że na Ślązku walczy 250 tysięcy Niemców przeciw 310 tysiącom Czechów i Polaków, to przyjść musimy do przekonania, że ów stosunek liczebny wkłada na oba szczepy słowiańskie obowiązek, aby względem siebie zachowywali się jak najlojalniej i najuprzejmiej. My zawsze przemawialiśmy w tym duchu (??) a łatwo być może że stanowisko nasze wielu wydawało się zbyt optymistycznem (!!??.)

„Niestety, ta nasza daleko idąca uprzejmość znajdowała mało wśród Polaków uznania i zrozumienia; jest to grzechem popełnionym na obu szczepach słowiańskich, a pożądanym dla Niemców, którzy rozporządzają szkołą i urzędami, jako narzędziem wynarodowienia. Polacy dali się w pole wywieść taktyką zręczną superintendenta Haasego, dając się użyć przeciw nam za narzędzie. Obecnie walczą tam Polacy przeciw Czechom na polu ekonomicznem w związkach rolniczych i szkole. W Cieszyńskiem zwłaszcza prześladują Polacy prawników czeskich, chociaż, jak wiadomo, ludzie poważni ludu cieszyńskiego nie uważają etnograficznie za Polaków (!).

„Ponieważ złe każde ma i dobre strony, tak i owa agitacya polska zwróciła na siebie uwagę niektórych wybitniejszych mężów polskich, zwłaszcza posłów, którzy umyślnie się udali na Śląsk w celu bliższego zapoznania się ze stosunkami tamtejszymi. Posłowie polscy poruszyli kwestyę śląską w Kole polskiem. Tam dano im odpowiedź, aby zaczekali rok jeden, w którym to czasie miało zmienić się coś na korzyść Polaków śląskich. Działo się to jeszcze za rządów hr. Taafego. Potem przyszła era koalicyi, w Kole polskiem zapatrywania się zmieniły i dziś uznano za chwilę niestosowną do poruszania kwestyi narodowościowej.

„Polacy ustraszyli się groźb. Niemcy w głównym organie śląskim „Silezii“ uderzyli na alarm, nazywając Polaków śląskich panslawistami. Bądź co bądź kwestyi śląskiej na długo odsuwać nie można.

„Byłoby i naszem życzeniem, aby posłowie polscy Lewicki i Sokołowski kwestyę tę przenieśli z Wiednia na lud galicyjski, jako część składową programu Polaków w Austryi.

* * *

Wychodzący w Pradze dziennik konserwatywny „Czech“ taką daje „Narodnim Listom“ odprawę z powodu zaczepek Polaków śląskich:

„Niedawno temu napisał „Przegląd“ lwowski o sytuacyi Polaków na Śląsku, że ich narodowości grozi większe od Czechów aniżeli Niemców niebezpieczeństwo. Wyrok ten wydało pismo polskie z powodu zachowania się „Narodnich Listów“ wobec kwestyi śląskiej. Zachowanie się „Narodnich Listów“ wobec Polaków na Śląsku budzi wszędzie niechęć największą, bo nietylko wśród Polaków, ale i wśród Czechów. „Narodnie Listy“ tak szczycące się z zasad wolnomyślnych postanowiły skonfiskować naród polski na Ślązku i zwróciły się przeciw braterskiemu narodowi polskiemu, zamiast przeciw odwiecznemu wrogowi wszystkich Słowian, Niemcom.

„Jest łatwem do zrozumienia, że ten wyrok polskiego pisma „Narodnim Listom“ się nie podoba, pragną one przenieść odium na „Przegląd“ imputując mu zarzut zdrady interesów słowiańskich. Według naszego zdania „Przegląd“ nie jest dalekim od prawdy, jeżeli miał na myśli nie naród czeski, lecz „„Narodnie Listy.““

„Że tak jest w rzeczywistości wynika z tego, co napisał o owym sądzie niepowołanym, organ Czechów śląskich „„Opavsky Tydennik.““ W „Opavskim Tydenniku“ czytamy, że takie napaści pisma czeskiego nie wyjdą na pożytek Czechom. Dotychczas tylko Niemcy zaprzeczali, że na Ślązku są Polacy. „Narodni Listy“ znalazły się na tem samem stanowisku. Pismo to zajmuje stanowisko, jak owi nieliczni Polacy, którzyby chcieli zaprzeczyć istnienia ludu czeskiego w niektórych okolicach księstwa cieszyńskiego. Z tych ludzi popadających w ostateczności mogą mieć korzyść tylko ci, którzy dla Śląska wymyślili nową narodowość „„wasserpolacką““. Przeciw tym napaściom protestujemy energicznie. Mogą one Polaków tylko drażnić i ku nam budzić nieufność. Był i jest spór o niektóre wioski pograniczne, ale to fakt, że część wschodnia jest czysto polską. Czesi tylko na skrawku zachodnim mieszkają. Dla rozumnego człowieka, który chce być Słowianinem powinno to hasło wystarczyć: „„Polak pomiędzy Czechami niechaj się czuje Czechem. Czech pomiędzy Polakami — Polakiem.““

* * *

Organ Starosłoweńców „Slovenec“ lublański w rzędzie z prasą młodosłoweńską występuje przeciw obecnemu rządowi koalicyinemu i pisze:

„Nie wiemy, jak posłowie słoweńscy głosowali w klubie hr. Hohenwarta nad budżetem ministerstwa oświaty, wiemy tylko, że w radzie państwa głosowali zgodnie z konserwatystami po myśli rządu. Niepodobna nam na miejscu tem powstrzymać się z wypowiedzeniem zdania o dotychczasowej polityce naszych przedstawicieli. Wypadki ostatnich dni przekonały nas że się zawiedliśmy, spodziewając się sprawiedliwego traktowania kwestyj szkolnych i religijnych ze strony nowego rządu. Nie mamy już zaufania do ministerstwa koalicyjnego. Dwaj posłowie liberał Treuinfels i Polak Piniński już bez ogródki występowali za szkołami bezwyznaniowemi, śmieli nawet wysławiać 25cio - lecie panowania bezwyznaniowości w szkole. Nasi chrześcijańscy posłowie słoweńscy nie śmieli nawet głosu podnieść w obronie szkoły wyznaniowej i w milczeniu przysłuchiwali się wywodom masonów.

„Pod względem narodowościowym nic od rządu nie otrzymaliśmy jesteśmy tam, gdzieśmy byli, pod względem ekonomicznym rząd dalej popiera wielki kapitał ze szkodą ludzi uboższych. Nasze chrześciańsko-socyalne stanowisko nie dozwala nam łączyć się ze systemem, który jest nam Słoweńcom katolickim pod tylu względami wrogim.“

* * *

Wychodzący w Tryeście, w języku włoskim organ Południowej Słowiańszczyzny „Il Pensiere Slavo“ pisze o zadaniu Słowian w Austryi, co następuje:

„Słowianie austryaccy otrzymali dziś od rządu, prawa, które dozwalają im swobodniej, aniżeli dotychczas się rozwijać i dążyć jawniej do odzyskania tych praw, jakie im się należą ze względu na ich przeszłość. Słowianie austryaccy mają niczem nieprzedawnione prawa do egzystencyi samodzielnej, oni to bowiem całości państwa bronili i byli fundamentem na którym wzniósł się i ustalił tron monarchii.“

„Austrya nie jest państwem niemieckiem, a ktoby ją niem chciał zrobić, ten sprzeniewierza się posłannictwu Austryi; co u nas jest antysłowiańskiem, to jest zarówno i antydynastycznem. Słowianie nie stali się Austryakami w tym celu, aby się zniemczyć i wynarodowić, lecz aby być wolnymi obywatelami państwa i używać wszelkich praw przysługujących im jako takim.“

„Słowianom austryackim czyni się zarzut, iż dążą do unii z Rosyą. Zarzut ten jest błahym. Nikt o politycznem połączeniu się z Rosyą nie myśli. Najlepszym dowodem niesłusz

---

pośpiechu, może przyjechać nazajutrz po moim pogrzebie. Po mojej nędznej śmierci... Nigdy już nie pomacam rękami jego włosów, ani nie usłyszę głosu. Zapomniałem, jak on mówi, i nie mogę sobie przypomnieć tego dźwięku. Ciągle się w czyjejś mowie odzywa, krąży mi koło uszu, i ciągle zwodzi. Nigdy nie obejmę oczami jego postaci, jego męzkich szerokich ramion. Taki był wtedy chuderlawy, mizerny tego wieczora, kiedym go odprowadzał, nie przeczuwając, że na zawcze. Do końca będę nasłuchiwał, wyczekiwał jak głupi, do ostatniej minuty życia — i nadaremnie!..,

W tej chwili stary szlachcic czuje znowu w sobie mroźne powiewy obawy.

— On zupełnie o mnie zapomni — szepcze zbielałemi wargami. — Ani razu o mnie nie pomyśli... Ale co... nie pomyśli! On dobrowolnie, umyślnie zerwie, przestanie pisywać, zaprze się. Ogarną mu umysł jakieś wyobrażenia. Co to jest ojcowstwo? zada sobie pytanie jakiś filozof nowoczesny. Nagromadzi dowodów i wykaże z oczywistością nieodpartą, że ojcowstwo to złudzenie uczuć, to pewien nawyk moralny, który dla takich a takich przyczyn wytrzebićby z dusz ludzkich warto. Może nawet, o rozpaczy, będzie miał słuszność. Nie będzie wcale podły ani głupi, tylko wykształcony. Nikt go za to nie skarze, nikt nawet nie obwini. Jakież jest na to prawo?

— Trzeba się ratować — mówi starzec, załamując ręce.

Zimny pot spływa mu z czoła, serce uderza twardem, głośnem, powolnem tętnem. Zapomocą siły ducha mocnej a cienkiej, jakiejś jaźni nagle skupionej i wyłamanej z głębi istoty moralnej stara się zbadać swój rozum, podnieść go, wyćwiczyć i wyostrzyć do walki z sofizmatami syna.

— Ja cię nauczę, błaźnie, ja ci wytłomaczę, ja cię przekonam, że łżesz — mówi głuchym i twardym głosem.

Bolesny natężony, bezowocny paroksyzm poznania podpowiada mu zdania cudaczne i plugawe. Starzec chwyta je i pomija, szuka innych i znowu traci, tropi coraz nikczemniejsze myśli synowskie zupełnie tak, jak ogar tropi ślady sarny podczas zamieci zimowej, gdy wicher je zawiewa.

— Chemia ma swoje psie figle... Dla tego leci na koniec świata. Cóż znaczy stary jakiś dziad, któremu los odbierał po kolei wszystko, aż do ostatniej szmaty odzieży i ostatniego złudzenia.

Wszystkiemi potęgami ojcowskiego serca klnie tę naukę. Jakaś umiejętność, coś, czego nie można ani zniweczyć, ani nawet nienawidzić — porwało chłopca, jak śmierć.

— Oddaj mi go — skomle — wypożycz na jeden dzień, na jeden cały dzień. Więcej nie chcę.

Gdzieś, nieskończenie daleko w zaspach śniegu rozlega się świst przelatującego pociągu, nagły, przeszywający, jak wołanie na pomoc. Potem nastaje znowu ta głęboka cisza. Blask księżycowego światła zwolna się przysuwa się łóżka starca, który, zwinąwszy się w kłębek, miota się, płacze w tym ciemnym kącie i mruczy monotonną, żałosną swoją skargę.

Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył instytut komunikacyi w tym właśnie okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares, szepcząc: zagrabiaj, o piękny posągu... Nie tylko tendencya pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły znienacka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i, czuwając, oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej, niż panny, ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego warszawskiego powroźnika, którego urocza córka pielęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stronnic z dzieła Buckle'a.

Pan Teodor urodził się w mieście Warszawie, bodaj że na Krochmalnej ulicy, gdzie oj-

ności tego twierdzenia są Serbowie i Bułgarzy, którzy aczkolwiek dążą do duchowego zbliżenia się z całą Słowiańszczyzną, a na punkcie literatury i kultury są panslawistami, to przecież mowy o nich nie ma, aby dobrowolnie chcieli poddać się pod cudze panowanie."

K.

LITERATURA I SZTUKA.

„NAJMŁODSI".

III.

Pewien antropolog straszy dzisiejszych rodziców, iż dalecy potomkowie będą wyglądali bardzo śmiesznie. Symetrya naszego organizmu zostanie zepsutą: prawa strona tułowiu z odpowiedniemi kończynami rozwinie się z uszczerbkiem lewej, natomiast czaszkę oczekują przeciwne losy. Ale cokolwiek powiemy o tym przepowiadanym prawnuku, jedno jest rzeczą pewną, mianowicie, że on sam będzie uważał siebie za najpiękniejszy twór przyrody. Istota ludzka zawsze i wszędzie uwielbiała to, co widziała w sobie: swoje własne cechy wcielała w różne bałwany i zginała przed nimi korne czoło. I „najmłodsi", występując z tak niedołężną formą i wyprowadzając na jaw takie dotknięte niemocą postacie, są pełni animuszu. Przynajmniej niektórzy w swojej subjektywnej zaciekłości sądzą, że przed ludzkością odsłaniają zgoła nowe widnokręgi. Ktoś do swego zbiorku dołączył przedmowę (zresztą są w niej ustępy lepsze, niż w książce), dowodzącą, że ów młody umysł jest może rozczochrany, lecz jednocześnie odważny i energiczny. „W powieści doby obecnej — czytamy tam między innemi — uderza szczególnie usiłowanie przedstawienia życia nie jak je odczuwamy, ale jakiem ono jest niezależne od naszych uczuć... To zdaniem mojem jest głównym jej błędem, wymagającym od nowej doby sprostowania." „Zdajmyż sobie sprawę, czem w przybliżeniu może być świtający okres w literaturze w stosunku do przeżytej szkoły: uogólnić go można mówiąc, że będzie zupełną jej reakcyą, zbudzeniem skrzywdzonego indywidualizmu, uprawnieniem podmiotowości ludzkiej po przesądnej czci dla pseudo-objektywności, buntem potęgi wewnętrznego życia przeciw pospolitości nieożywionego faktu... Że nowa ta doba, chcąc zaspokoić wzrastające codziennie pragnienia inteligencyi, wymagać będzie innej twórczości i nowej formy, to jest faktem niewątpliwym... Że ta nowa faza będzie smutna, negatywna i zrozpaczona, że będzie wyznawczynią pesymizmu filozoficznego, tego za błąd jej przyszłość bezstronna nie poczyta."

Nie jesteśmy zwolennikami sekciarskich klik w estetyce: używaj, jakiej chcesz metody, przedmiotowej lub podmiotowej, bądź naturalistą lub psychologiem, lecz pisz tak, aby twoje obrazy pozostawiły trwały ślad w sercach i umysłach ludzkich — oto jest jedyna nasza zasada! Z tego powodu jesteśmy przeciwnikami wszelkiej propagandy szablonu szkolarskiego i nie możemy cierpliwie przypatrywać się, jak ktoś ze swego „ja", z jego urojeń, majaczeń i błędów zrobił cielca i przed nim pali kadzidła, wystawia go dla wszystkich czasów i od innych żąda, ażeby czynili to samo. Swoją drogą ten, czyje wyznanie wiary przytoczyliśmy wyżej, posiada słuszność najzupełniejszą. Dzisiejsza bowiem chwila dziejowa zaczyna stwarzać nową formę twórczości beletrystycznej — podmiotową. Ale kiedy twierdzi, że to świeżo zniesione jajo jest ostatecznem ogniwem piękna i rozumu, możemy puścić wodze naszemu humorowi nad tem zaślepieniem. Ale bądź co bądź winniśmy zgodzić się, że taką jest najwybrańsza forma nadciągającej przyszłości. Czy owoc będzie zdrów i obfity, rzecz inna: inna zaś, że drzewo teraźniejszości pokrywa się tego rodzaju płodem. Zwróćmy się chociażby do literatury skandynawskiej. Talenty są tam innej miary niż nasze, ale duch tego samego kalibru, subjektywno-analityczny. Naturalnie, mówię o najmłodszem pokoleniu. I gdzieindziej upowszechnia się forma podmiotowa. Te same monologi i duety, ta sama jaźń spowiadająca się, ta sama wreszcie zamiana przedmiotowego otoczenia na martwą dekoracyę! A takie ogólne zjawisko musi posiadać powody dostatecznej mocy. Jakie? — na tem właśnie zatrzymamy się, zagadnienie zaś to rozpatrzymy już w zakresie całej obecnej cywilizacyi.

Jeden obraz z przeszłości staje mi przed oczyma. Rynek miasteczka zawalony wozami, tłumy włościańskie w stroju ludowym, pełno straganów z „koralami", mosiężnymi pierścionkami i medalionikami. Z kościoła wylewa się lud, w przeciwległym rogu rynku gra kataryńka, rozstrojone jej dźwięki drgają w gorącem powietrzu czerwcowego południa. Życie płynie gwarnym potokiem: starzy gawędzą, młodzież zbiera się przed karczmą, widząc, że niebawem rozpoczną się tańce. Każdy zna tam niemal każdego. Gdybyśmy którego z tych kumotrów obdarzyli talentem powieściopisarskim, otrzymalibyśmy od niego utwór pełen życia, w formie przedmiotowej, niekiedy tryskający wesołym humorem, czasami skropiony łzami smutku, lecz wrażliwy na troski innych — względnie. Autor nie filozofowałby na temat, że pożarł on wszelką mądrość, i że szablon jego pisarski jest doskonałością nad doskonałościami. A teraz przenieśmy się do innego zakątka. Park wielkomiejski podobnie skąpany w promieniach słońca. Ludziska przewijają się drobnemi gromadkami, a sporo jest takich, którzy samotnie korzystają z rozkoszy czystego powietrza i napawają się drganiami ciepła słonecznego. Tam wlecze się ktoś z wyrazem zgryźliwo-obojętnym na twarzy, na której jakby odczytujemy: jak czułbym się dobrze na łonie przyrody, gdyby nie było w pobliżu spacerujących błaznów dwunożnych! Zresztą szablonem swojego ubioru ani na jotę nie wyróżnia się od pogardzanej ciżby. Owdzie siedzi kobieta, barwa warg mówi o bezkrwistości, wyraz twarzy jest mniej zgryźliwy, więcej tam za to smutku, pelerynka skrojona według ostatniej mody, myśli zaś są tego samego stempla, jak i u innych samotników, błądzących po parku, tj. obracają się około własnego „ja". Po ścieżynie zbliża się jakiś znajomy, następuje przywitanie takie lub inne, lecz pozbawione owej serdeczności, z jaką spotykają się kumotrowie na odpuście: czuć, że jest to goła forma, wykonywana dla tego, ponieważ „dobre" wychowanie każe tak uczynić. Parę minut rozmowy: skarga na nudy, nieco komplimentów, a pomiędzy nimi ukryte żądło docinku, grzeczne, zimne a dotkliwe. Taka sama pustka wewnętrzna prześladuje człowieka na każdym kroku w życiu — pustka, bynajmniej nie będąca dowodem, aby świat ludzki był obojętny niby głaz, lecz tylko świadcząca, że czyjeś serce jest zimne lub utraciło zdolności żywotne. Znajomi — nie mówię: przyjaciele, bo tych niema. Jak co św. Jan zmieniamy mieszkanie, podobnie każda wiosna lub też jakaś inna pora, przynosi nam nowe twarze, z dawnych znajomych jedni wyjechali, z innymi zerwało się, ponieważ spowszednieli, żadnego może nie znamy od dzieciństwa. Spotykamy się z nimi na pewnego rodzaju sabbatach. Łysą górą jest salon, rolę dyabła spełnia w zamożniejszych jakiś tenor, arcygłupi, lecz arcymięsisty. Poflirtujemy, powiemy parę docinków, po powrocie do domu wyniciujemy wszystkich. I pusto, i czczo-jałowo i monotonnie dzień po dniu skraca się życie. Otóż istotę ludzką z takiej szczególnej formacyi, nawet wolną od jadu nerwowości chorobliwej i głodu niezaspokojonych instynktów, obdarujmy zdolnością pióra. Trzeba zaprawdę potężnego talentu, ażeby z takiego szablonu wydobyć wypukłą rzeźbę. Hotelowość życia zrodzi to, że naszi

---

ciec jego skromny, ubogi, ale chędogi szynczek narożny utrzymywał. W latach pacholęcych bawił się mały Teoś wraz z czeredą młodszego i starszego rodzeństwa, że tak powiem, w rynsztoku, wybijał szyby sąsiadom starozakonnym i byłby był pozostał nazawsze w stanie barbarzyństwa, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność. Oto właścicielka domostwa, gdzie mieścił się instytut starego Bijaka, dama, draśnięta zębem czasu, oraz przeździwnie uczuciowa, dostała pewnego pięknego poranku celny strzał z procy, naciągniętej ręką małego urwipołcia. Kamień utkwił w samym boku i przyprawił podstarzałą pannę o kilka dni płaczu i cierpień moralnych.

Rozkazała przywołać do siebie Teosia, patrzała nań długo, a wreszcie rzekła:

— Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę.

Chłopiec był nadspodziewanie zdolny, w lot naukę w sztubie pochłonął i w sekrecie nawet przed zapijającym wszelkie sprawy Bijakiem zdał do gimnazyum. I tam szedł z nagrodami z klasy do klasy, cicho i skromnie. Opiekunce na imieniny pisał laurki, całował kolana i ręce, a po jej śmierci musiał, sierotka, wiele nacałować mankietów, nim wreszcie zdał do Szkoły Głównej, ukończył wydział matematyczny i, przy pomocy tych i tamtych, dostał się do instytutu.

Wszystko to gładko mu poszło. Nie będę opiewał wszystkich jego promocyj, przygód, zachodów, zmian sposobu myślenia i miejsc pobytu, dość będzie, gdy powiem, że budował wiele pięknych mostów, dużych dworców, wielką ilość dystansów — i że, nim upłynęło lat dziesięć od ukończenia studyów, posąg nasz miał już kilkadziesiąt tysięcy rubli, ulokowanych bezpiecznie i świetnie. Do posad przy eksploatacyi nie kwapił się, wolał zawsze trzymać z grubemi rybami i asystować przy budowie dróg nowych. Pieniądze płynęły do jego kieszeni szerokiem łożyskiem: drobna niejednokrotnie usługa, słówko zgrabnie pochlebne, dzielna, niewinna na pozór operacyjka, co więcej, szczęśliwy dowcip warszawski napełniały na nowo pugilares, po jakiejś inżynierskiej bachanalijce chwilowo opróżniony. Nie mówię o rezultatach głęboko i systematycznie obmyślanych planów działania.

Wśród uśmiechów losu inżynier nasz, wyznać trzeba, nie zapomniał o ubogiej familii z Krochmalnej ulicy. Prowadził za sobą kohortę nietylko braci, ale bliższych i dalszych kuzynów, z których każdy, już po tygodniu operowania pod okiem dobroczyńcy, chadzał przy zegarku i rujnował się na modne haweloki. Na południowem wybrzeżu Krymu pan Teodor posiadał wytworną willę, gdzie królowała pięknie rozkwitła małżonka jego, czytelniczka niegdyś Buckle'ów i Mill'ów. Cudownie tam było: w oddali falowało morze, dokoła rozścielał się las podzwrotnikowych krzewów. Zdawało się, że pan Teodor do końca życia będzie sobie w wolnych chwilach odczytywał to tę, to inną stronicę Dekamerona, (mądre bowiem księga rozdawał na pamiątkę niewyspanym telegrafistom) gdy oto niespodziewanie zjawił sie demon niepokoju.

Wówczas właśnie poczęto w kraju budować drogę żelazną żydowską. Pan Teodor zjawił się i wziął spory dystans.

Zaraz po objęciu robót przyplątał się do niego zrujnowany do szczętu obywatel ziemski Dominik Cedryna. Początkowo pełnił na budującym się plancie obowiązki zwyczajnego dozorcy, poganiacza ludzkiego stada, później zaskarbił sobie względy naszego przedsiębiorcy i do innych celów użytym został. Dziwnie wyglądał ten elegancki, wyprostowany starzec z miną pana, zawsze wytwornie i czysto ubrany, gładko uczesany i wygolony starannie, kiedy stał w pobliżu drzwi wobec Bijakowskiego, rozwalonego niedbale na krześle. Inżynier doświadczał demokratycznej rozkoszy trzymając przy drzwiach byłego panka i mówiąc do niego: pójdziesz mi, mój panie Cedryna... albo: tyle już razy mówiłem panu Cedrynie... albo: trzeba być mazgajem... panie ten... panie... Cedryna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

znajomość dusz ludzkich będzie nader ciasna, wraz zaś z monotonnością otoczenia sprawi jeszcze dalsze skutki, mianowicie, iż żywi ludzie zamienieni zostaną na dekoracye; dzięki ceremonialnej suchości pojmować będziemy ludzi tylko z jednej strony, albo zrozumiemy jedynie szczególnego pokroju typy — nie znam większych fanatyków jakiejś kliki estetycznej nad „wolne duchy“, poruszające się torem życia wielkomiejskiego; swoje „ja“, jedynie dobrze znana kryjówka, zostanie wydęte do niemożliwości, aż wreszcie w gronie doskonałych samotników, lub śród nieprzystosowanych zjawi się metoda podmiotowa, będąca w gruncie rzeczy liryką. A właśnie w takim kierunku, od gwarnego odpustu kumotrów w małem miasteczku do błąkających się w smętnej analizie samotników, znużonych życiem, niesie dusze ludzkie potok dziejowy. Zamiast grup solidarnych powstają proste atomy: węzły rodzinne pryskają, pobratymstwo barbarzyńskie, wzmocnione wzajemnem wypiciem krwi, zamienia się na przelotną znajomość z większych lub mniejszych kiermaszów flirtu, ten i ów spotykając się codziennie z ludźmi, żyje w gruncie rzeczy niby pustelnik. (Dokończenie nast.)

Polka w ciągu bieżącego stulecia.

IV.

N a r c y z a Ż m i c h o w s k a.

Wśród tej garstki kobiet szlachetnych i odważnych, którym dzisiejsze pokolenie niewieście pierwszy impuls do obecnego postępu zawdzięcza, najwybitniejszą postacią była N a r c y z a Ż m i c h o w s k a. — To przodujące stanowisko było nietylko wynikiem jej pierwszorzędnego talentu i głębokiego umysłu, lecz opierało się również na właściwościach jej charakteru, energii, odwadze, samodzielności w myślach, słowie i czynie, wreszcie, lust not least, gorącej miłości dla kraju, namiętnem pragnieniem ogólnego dobra, postępu, światła i szczęścia dla wszystkich. — Autorstwo było dla niej tylko jednym ze środków działania, jedną z form, w którą swoje poglądy i uczucia wcielała. Nie stanowiło ono bynajmniej głównej sprężyny życia i zaledwie dziesięcioletni okres jego wypełniło. To też chcąc ocenić społeczne znaczenie Żmichowskiej nie wystarcza bynajmniej przeczytać pięć tomów jej dzieł, choć one są skarbnicą bogatą myśli pięknych i pięknie wypowiedzianych, a tak zdrowych, trafnych, żywotnych, że i dziś po upływie 50-letniego okresu nic ze swej świeżości i oryginalności nie tracą. — Dla tego też właśnie, choć Gabryella nie wzbogaciła literatury naszej żadnem skończonem arcydziełem (wyjąwszy może „Poganki“), choć, jak sama pisma swe skrytykowała: „są tam same początki i środki, żadnego zakończenia“, ta wiązanka fragmentów zawiera tyle klejnotów czystej wody, iż przyznane jej ogólnie miano genialnej autorki w zupełności usprawiedliwia. — Niektórzy krytycy współcześni stawiają ją obok wielkiej trójcy naszych poetów jako ich dopełnienie. Nie sprzeczając się o trafność tego zestawienia, bez względu na stanowisko, jakie Gabryelli na polskim Parnasie przypada, widzimy w każdym razie, że jako autorka i kobieta należy całkowicie do romantycznej epoki i wciela w siebie wszystkie szlachetne i zdrowe pierwiastki, jakimi ten kierunek nasze duchowe życie zasilił. Od dziecinnych lat począwszy kształciła się i rozwijała pod wpływem tych samych prądów, które w rozwoju romantyzmu największą grały rolę: echa napoleońskich tradycyj, krwawe listopadowe wypadki, rozpowszechnione zamiłowanie do pieśni i podań ludowych, burzliwe życie emigracyi, wreszcie wielkie marzenie o wolności ludów, którem się w połowie stulecia upoiła Europa — wszystkie te czynniki ogólne urabiały i kształtowały charakter Żmichowskiej, jej poglądy, uczucia, one wreszcie życiu kierunek wytknęły. Jeżeli przeżywszy wraz z narodem całą kolej romantycznych uniesień nie poszła drogą innych poetów i ani messyanizmem Towiańczyków, ani mistycyzmem Krasińskiego się nie przejęła, to przypisać to można zarówno jej wrodzonej umysłowej trzeźwości jak i temu, że poezya nie była jej wyłącznym żywiołem, a więcej niż książki, miało dla niej znaczenia życie rzeczywiste, które, jak wiadomo, dla zbyt skrzydlatych umysłów bywa cennym bardzo do utrzymania koniecznej równowagi balastem. — U schyłku życia, sama w krótkich słowach swój stosunek do literatury romantycznej określa: „Dla mnie, co przed Adamem, to zawsze lekcya literatury, co po Zygmuncie, to przysmaczek jednorazowy“. Mimo tej wyłączności zamiłowań literackich, do ostatniej chwili nie pozostała obcą życiu swego społeczeństwa i każdy prąd nowy, a ożywczy, każdy objaw dążenia do światła i prawdy, każdy czyn ogólne dobro mający na celu witała z radością i gorącem zachęcała poparciem. Życie Gabryelli tak ściśle łączy się z życiem narodu, jej pragnienia takim żywym są wyrazem ogólnych potrzeb, a jej cierpienia — cierpień ogólnych, że bez przesady stosować do niej można słowa poety: nazywała się milion, bo za miliony kochała i cierpiała katusze. — Z tego względu właśnie Żmichowska w dziejach polskiej kobiety wybitne zajmuje stanowisko. Wprawdzie nie napisała dla rodaczek swych żadnego rozumowego programu działania, nie zaopatrzyła ich na podobieństwo Tańskiej żadnym ogólnym katechizmem moralnym, podręcznikiem mądrości życiowej, lecz sama sobie wytknęła zupełnie odrębną i samodzielną drogę, była całkiem nowym i oryginalnym typem polskiej kobiety, kobiety-obywatelki, kobiety-człowieka. — Jeżeli poglądów swych na stanowisko niewiasty w społeczeństwie w żadnem dziele nie streściła, to dla tego zapewne, że wszelkie na tem polu reformy nie za cel, lecz za środek skuteczniejszego służenia idei uważała. Życie i wychowanie kobiety, zarówno jak życie i wychowanie mężczyzny, stanowiły dla niej tylko dwie strony dziejów narodu i dwie narodowej przyszłości podstawy. Dla tego też nigdy nie była szermierką kwestyi kobiecej, choć nieraz piórem i słowem karciła ostro przesądy, które kobietom na drodze do spełnienia ich ludzkich obywatelskich obowiązków zaporą stoją. Dla kobiet, zarówno jak dla mężczyzn, pragnęła wyższej oświaty, więcej energii w pracy społecznej, odwagi do głoszenia słowem i czynem swoich przekonań, pracy nad udoskonaleniem wewnętrznem i zupełnej zgody uczuć, myśli, poglądów — z czynami i życiem. Znamiennym rysem charakteru Żmichowskiej była wygórowana uczciwość — uczciwość nie wchodząca w kompromisy z żadną hipokryzyą, z najdrobniejszym nawet towarzyskim fałszem, z najniewinniejszem choćby okolicznościami wymuszonem kłamstwem. Każde napisane przez siebie słowo uważała „jako weksel na własne sumienie wystawiony“ i wolała zawsze narazić się na szyderstwo lub obmowę, niż z sobą samą choć na chwilę w sprzeczności stanąć. — Z tej uczciwości, z gorącego przejęcia się wielką i świętą ideą płynęły główne jej zalety: odwaga, samodzielność, śmiały polot myśli, zdolność do poświęceń i niezwykła skromność w ocenianiu samej siebie.

Warunki, wśród których dojrzewała wpłynęły niemało na wytworzenie się tych przymiotów. Nie potrzebowała ona żadnej teoryi emancypacyjnej się chwytać — wyemancypowało ją życie. Matki swej nie znała, ojciec umarł w czasie jej dzieciństwa, wychowana przez starszych braci i siostry, przez krewnych dalszych i bliższych, rozmaitym, zawsze jednak zbawiennym ulegała wpływom. Na pensyi była jedną z najzdolniejszych, a zatem i jedną z ulubionych pani Wilczyńskiej uczennic. Już jako 12-letnia dziewczynka objawiała dużo samodzielności i miała zakrój przyszłej entuzyastki i gorącej patryotki. Podczas rewolucyi 31 roku marzyła o tem, aby uciec do powstania. Chcąc się właściwie do tej roli usposobić przyzwyczajała się do niewygód. W sekrecie wstawała w nocy z łóżka i próbowała sypiać na twardej podłodze, a chcąc swą fizyczną siłę wyrobić, usiłowała poruszać w ogrodzie kamień za ławkę służący.

Nowocześni pogromcy narodu polskiego

i jego przeszłości w literaturze hi storycznej.*)

Jedynym, rzec można, i najulubieńszym tematem opracowywanym z historyi polskiej przez pisarzy rosyjskich jest upadek Polski i jej rozbiór. Upadek ten stoi im nieustannie w oczach, jak widmo złowrogie, poruszające w duszy całą burzę wyrzutów społecznego sumienia i zgrozy nad zgubą rzeczypospolitej przygotowywaną przez Rosyę tak długo i z taką systematyczną przewrotnością. Dalecy od jakiegokolwiek bądź współczucia dla klęsk i nieszczęść narodu, którego by pragnęli widzieć wygubionym do szczętu, starają się oni jedynie oczyścić Rosyę z zarzutu, którym ją obarcza świat cały.

Potrzeba im dowieść, że rozbiór ten był sprawiedliwym, że nie ciąży i nie może ciążyć na Rosyi niesława zasiewania w kraju sąsiednim tysiąca najhaniebniejszych intryg w celu rozjątrzania niezgód i waśni, że bezprawia popełniane nad słabszym sąsiadem nastąpiły z winy tego ostatniego i że zgładzenie i unicestwienie bytu politycznego Polski było wyłącznym skutkiem błędów całego społeczeństwa polskiego.

Jeżeliby się to założenie z góry przez nich postawione udało całkowicie usprawiedliwić, natenczas miałoby ono dwa olbrzymie rezultaty: 1) uniewinnienie Rosyi przed światem wobec zarzutów co do zagłady Polski, i 2) przeświadczenie, że byt polityczny Polski nie stanowił w sobie żadnej idei, której by bronić należało. Z zaprzeczeniem stanowczem tej idei nikną w ich przekonaniu wszelkie prawa jakiegokolwiek bądź, chociażby nawet w szczupłych bardzo zakresach, samoistnego bytu narodowości polskiej: naród bowiem, który dowiódł, że się utrzymać nie mógł w swem państwie, niezdolnym jest do istnienia o swych własnych siłach, a przez to samo skazanym być musi na stałą zależność od obcego, silniejszego pierwiastku. Teza jest aż nadto jasną i zrozumiałą, a opracowaniu jej z wytężeniem ku temu wszelkich sił i z nieposkromionym zapałem oddawali się w ostatnich trzydziestu latach pisarze rosyjscy, prześcigając jeden drugiego ostatecznymi wnioskami i wywodami. W ślad za Sołowjewym i Kostomarowym występuje na tem polu obecnie p. Karejew, zasypując publiczność rosyjską dziełami odnoszącemi się wyłącznie do upadku Polski.

Zbiegiem szczególnych okoliczności tym nieposkromionym zapędom rosyjskich pisarzy stała się bardzo pomocną powstała na gruncie krajowym polskim publicystyka historyczna, dość powszechnie nazywana szkołą krakowską. Publicystyka ta, jak wiadomo ogólnie, nosi wybitne znamię reakcyi przeciwko idealizowaniu przeszłości, upatrując w niem szkodliwą dążność dla narodu, stawiając zaś natomiast hasło, iż „w imię dziejowej prawdy“ należy się zapoznać ze wszelkiemi tejże przeszłości błędami i skazami. Źle jednak przez nią samą zrozumiane hasło popchnęło ją na tory fałszywe i na manowce. Dla jakich bowiem powodów hasło to zostało przez nią postawionem? czy stanowiło ono jakąś nową i nieznaną w historyi zasadę? byłoż inaugurowanem w badaniu dziejów przez nich dopiero samych, nie zaś przez ich poprzedników? Bynajmniej! O żadnym z naszych poprzednich historyków nikt nie jest w stanie orzec, aby którykolwiek z nich rozmyślnie taił przed oczami społeczności błędy historyczne naszych przodków lub przedstawiał je w świetle upiększonem.

Nie czynił tego ani Lelewel lub Moraczewski, ani Szajnocha ani Schmitt lub też Bartoszewicz. Każdy z nich o słabych stronach naszej przeszłości mówił otwarcie i z całą szczerością, a ostatecznie z nich

*) Pracę pana Snitki zamieszczamy z tem zastrzeżeniem, że znajdują się w niej pewne twierdzenia, na które godzić się nie możemy.

Niestety, gdy już doszła do ilekolwiek pomyślnego rezultatu, rozchorowała się od tych eksperymentów, a wraz z utratą sił fizycznych i marzenia jej się rozwiały. Ten drobny fakcik z życia dziecka charakteryzuje przyszłą kobietę. Ileż razy w dalszem swem życiu usiłowała słabem ramieniem ciężkie głazy poruszać, ileż razy cierpieniem takie próby opłacać musiała!

Po ukończeniu pensyi nie przestała nad własnem wykształceniem pracować, a w parę lat potem jako nauczycielka hrabianki Zamojskiej wyjechała do Paryża. Atmosfera domu arystokratycznego nie była jednak jej umiłowanym żywiołem, wkrótce porzuciła to miejsce i resztę czasu w stolicy Francyi przepędzonego poświęciła pracy umysłowej. — Całymi dniami przesiadywała w bibliotekach, czytając same poważne, głównie filozoficzne i historyczne dzieła, a brat emigrant był jej duchowym przewodnikiem. Rok przeżyty w Paryżu niewątpliwie wiele ją nauczył, to też z sasobem bogatym nowych pojęć i wyobrażeń powróciła do kraju pełna zapału do pracy i chęci poświęcenia jej ojczyźnie. Rozpatrzywszy się w jej położeniu bardzo trafnie scharakteryzowała w liście do brata istniejące w kraju stronnictwa, oświadczając przytem: „mój wybór już zrobiony, przystałam do najczynniejszych“. Dalej zaś pisze: „Ach bracie, pracować, być użyteczną krajowi, nie tym ujemnym nieszkodliwości pożytkiem, ale dodatnim, dotykalnym wprost na ogół idącym czynem.... Oh! to marzenie całego życia mojego! to szczęście tak wielkie, że mu nie śmiem dowierzać! — Pierwszą jej myślą było założenie pensyi w Poznaniu: kształcenie kobiet na rozumne obywatelki kraju przedstawiało jej się jako praca doniosłego znaczenia. Nieszczęściem brak funduszów nie pozwolił jej urzeczywistnić tego zamiaru, nieszczęściem dla niej, a więcej jeszcze dla Wielkopolski. Łatwo wyobrazić sobie, jak dalece podniósłby się poziom wykształcenia kobiet naszej dzielnicy, gdyby w onym czasie Gabryella była kierunek wychowania objęła. Z poznańskiego przeniosła się do Warszawy, gdzie zbliżyła się z kółkiem entuzyastek i w tej właśnie porze zawód autorski rozpoczęła. Pierwszy jej utwór: „Szczęście poety“ zyskał ogólny poklask. Narcyzę zadziwiło tak szybkie powodzenie, tłomaczyła je też sobie jedynie jako zachętę do pracy literackiej naturalną w epoce, w której piśmiennictwo miejscowe w wielkim pogrążone było upadku. — Charakterystyczną cechą Żmichowskiej było to, iż każdą do siebie odniesioną pochwałę uważała jako wskazówkę nie tego, czem jest, ale tego, czego społeczeństwo od niej wymaga. W otoczeniu życzliwych sobie entuzyastów doznawała podniety do pracy i wtedy wyszły z pod jej pióra najcenniejsze utwory. Popularnymi nie były one nigdy, ale umysły wykształcone, ludzie z wykwintnym smakiem rozkoszowali się niemi i sława Gabryelli wzrastała szybko. Wpływ jej na otoczenie był bardzo potężny; miała ona talent skupiania w koło siebie rozumnych i szlachetnych ludzi dobrej woli, a umiała natchnąć ich zapałem i wiarą w przyszłość.

Wśród kobiet ówczesnych sprawa polepszenia doli ludu i oświecania maluczkich zyskiwała coraz więcej adeptek, a Gabryella, której zależne stanowisko jako nauczycielki prywatnej i brak materyalnych środków nie pozwalały samodzielnie do dzieła się zabrać, gorąco kochając lud polski, myśl podania mu bratniej ręki gorliwie propagowała i osobiście ścisłe z chatami polskiemi zawiązywała stosunki. — Niektóre jej poetyckie utwory, na tle podań ludowych, lub życia ludowego osnute, są wyrazem tego kierunku. Nad przyszłością kraju pracować usiłowała u źródła, główny kładąc nacisk na wychowanie młodych pokoleń. Nizki poziom umysłu ogółu martwił ją zarówno jak powszechna obojętność dla narodowej sprawy. Powszednie filisterstwo, rachuba, płytkość poglądów, miały w niej wielką nieprzyjaciółkę; ona chciała, aby nawet codzienne życie ludzi natchnione było miłością prawdy, dobra, piękna, aby miłość kraju przenikała wszystkie serca od kolebki. Chciała także, by wszystkie ludzi z ludźmi stosunki na poszanowaniu świętych zasad oparte były, wyrugować pragnęła z nich to, co fałszem i obłudą trąciło. Ceniąc świętość rodziny, której tak piękny, tak wyidealizowany obraz skreśliła w Pogance — u samego źródła już pragnęła ją zbudować na prawdzie. — Dla tego też wszystkie małżeńskie związki, czy rachubą, czy przymusem, czy też „rozsądkiem“ skojarzone, grzechem lub nieszczęściem były w jej oczach. (Dok. nastąpi.)

SALON POLA MARSOWEGO.

Paryż 15 maja.

Wystawę obrazów Pola Marsowego zainaugurowano 25 kwietnia zwykłym vernissażem. Uroczystość otwarcia, ściągająca do sal wystawowych stutysiączne tłumy odbyła się podług tradycyi zwykłego rytuału — to też pobieżnie tylko o niej wspomnę.

O 10-ej podwoje gmachu otwierają się szeroko — ale sale puste do 11-ej. Zaledwie widać małą garstkę rzeczywistych amatorów sztuki i artystów. — Pojedyńczo lub w grupach przesuwają się kolejno: Forain, Gervex, Albert Guillaeume, Grosclaude, Richepin, Emile Zola, Haraucourt, Jean Lorrain, Georges d'Esparbes i kilkudziesięciu innych mniej lub więcej znanych. Kobiet dotychczas mało, nie dla tego, żeby godzina 10 wydawała im się zawczesną, — Paryżanka bywa zwykle rannym ptakiem, bo wczesne wstawanie należy tu teraz do dobrego tonu tak jak dobry apetyt i rozwinięte muszkuły — ale tualeta na tę wielką uroczystość modnego świata wymaga wielu starań i zabiegów wobec pewności przejścia przed szyldkretowemi lornetkami niemiłosiernych sędziów: p r z y j a c i ó - ł e k! Jako jedna z pierwszych stawiła się Sarah Bernhard w towarzystwie Ludwiki Abbenny — i natychmiast wszystkie oczy ściągnęła na siebie. Ubrana jak zawsze z ekscentrycznością nie wykluczającą wyszukanego dobrego smaku. O 11 i pół zaczyna się tłok — słychać rozmowy, śmiechy. Komplementowanie malarzy: Mistrzu, co za arcydzieło! Mimo tych sztucznych zachwytów właściwie nikt na obrazy nie patrzy — nikt się o nie nie troszczy. O 12-ej tłum płynie zbitą falą do sali bufetowej — i tu zaczyna się walka heroiczna o porcyę skrzeplego łososia sauce verte, kotlet, skrzydełko pulardy lub wreszcie chociażby o kawałek sera i szklankę wina. Ścisk nie do opisania — kelnerzy biegają, hałasem i krzyżującemi się zamówieniami ogłuszeni i ogłupieni — rozlewając na kosztowne tualety i gorsy wypranych w Londynie męzkich koszul — sosy zielone, białe i brunatne. O 2-giej bufet zaczyna się wypróżniać, w salach znowu duszno i ciasno. I trwa to do 5-ej. O 5-ej herbowe i nieherbowe ekwipaże czekające w nieskończenie długim szeregu na alei zaczynają się rozjeżdżać na cztery strony Paryża. Wielki dzień pierwszego vernissażu należy już do przeszłości. Ouf! tant mieux!

Zaraz nazajutrz pospieszyłem znowu na wystawę. — Ogólne wrażenie, które z niej wyniosłem jest to, że nie jest ani gorszą, ani lepszą od poprzednich. Dużo dobrych płócien, kilka bardzo interesujących i dużo na odwrót mierności, a kilkanaście małowideł godnych figurowania co najwyżej w loży portyera wystawowego. Te ostatnie dostały się naturalnie wyjątkową drogą protekcyi — ale oczy na to zamknę — wspominać o nich nie warto. Nieprzyjemne za to wrażenie wywierać musi ta banalność, która się najgłośniej z wszystkich kątów odzywa: widoczna chęć hołdowania gustowi chwili — gorączkowa gorliwość podobania się zarobek dającej publiczności — oto co mówią te tysiące płócien — z małymi tylko wyjątkami kilku wybranych natur przenoszących własne upodobanie nad smak masy.

---

nie przeszkadzał w tem bynajmniej jego gorący patryotyzm. Byli to ludzie zanadto czyści w swych pobudkach i pragnieniach, aby fałszować prawdę dziejową w interesach danej chwili lub prądu ogarniającego na razie społeczeństwo. Publicystyce zatem, o którejśmy wspomnieli, chodziło nie o historyków poprzedniej doby, lecz o co innego zupełnie. Hasło wzniesionem zostało przeciwko ogółowi współczesnemu i nurtującym go prądom, którym usiłowali zapobiedz, po prostu nakierowując przeciwko nim ogólne wnioski, które można było zaczerpnąć z historyi: bezpośrednim zaś powodem stanowiska, zajętego przez nich, były straszne w kraju następstwa nieszczęśliwego powstania narodu z r. 1863. Pod wpływem tych klęsk okropnych zrodziła się myśl „otrzeźwiania“ narodu, którego bezowocne szamotanie się poczytywano za wynik idealizowania przeszłości.

W czemże i d e a l i z o w a n i e t o z a w i e r a ł o s i ę? czy w historyi? Przeciwnie, w historyi nie było go wcale; istniało ono natomiast w poezyi, w literaturze, oraz, że tak powiemy, w całem kulturalnem usposobieniu społeczeństwa tj. w elementach będących wynikiem narodowego uspołecznienia, opartego na rodzinnej tradycyi. Każde narodowe społeczeństwo do egzystencyi swej wyższej, moralnej — nie zaś tej poziomej, która jest oparta na zaspakajaniu codziennych potrzeb — wymaga ideałów, które czerpać musi z życia ubiegłego swych przodków, zespalając je z rzeczywistością i łącząc tę ostatnią z tradycyą. Bez tych ideałów, bez tej podniety duchowej, zaczerpniętej z rodzinnego gruntu, życie społeczno-narodowe świadome całej pełni zasobów moralnych jest niemożliwem, prędzej lub później traci ono grunt pod nogami i przeradza się w marną z dnia na dzień wegetacyę, nie mającą przed sobą ściśle określonego celu i zależną w zupełności od podmuchów losu, przed którymi słania się w tę lub ową stronę, nie znajdując nigdzie oparcia. W razach tych następuje i następować musi zwątpienie o własnych siłach, tamujące na każdym kroku rozwój inicyatywy, gdyż oparte na przeświadczeniu, iż pierwiastki rodzinne okazały się słabymi do podtrzymania narodowo społecznego życia, które na ich podstawie oprzeć się nie może. W rzeczywistości bowiem cała spójnia narodowo-społeczna w tych razach ograniczyć się musi wyłącznie do samego tylko języka. Lecz cóż znaczy sam język, gdy wszelkie pamiątki przeszłości i tradycye tracić będą z dnia na dzień swoje znaczenie wobec zerwania nici, która najbardziej nas łączyła z przeszłością, a mianowicie wspólnej przewodniej myśli! Taką wspólną przewodnią myślą, taką spójnią łączącą nas z przeszłością było przekonanie, iż w działaniach dawnych naszego narodu ujawniała się pewna rozumna idea, obejmująca w sobie istnienie ogółu narodowego, dla której tenże ogół składał mnogie ofiary, broniąc jej niestrudzenie od nacisku z zewnątrz, że wydoskonalenie tej idei było gorącem zadaniem całego szeregu pokoleń, i że ostatecznie wśród szczerej pracy nad jej wydoskonaleniem nastąpił cios połączonych z zewnątrz obcych sił oddawna czyhających na unicestwienie naszego odrębnego życia. Idea ta znalazła znakomite odzwierciedlenie w poezyi, literaturze i całem usposobieniu narodowem, czerpiąc tem większą potęgę, im bardziej była zaprzeczaną i wyplenianą przez obcych; szereg zaś gwałtów, uwięzień, zsyłek, wygnań i katuszy, które stały się udziałem apostołów i bojowników idei, rozżarzał w piersi społeczeństwa z nową siłą nieustający dla niej zapał. Męczeństwa te doprowadziły do rozmiłowania się we własnej przeszłości, które ustami jednego z wielkich poetów orzekło w ekstazie, iż naród jego jest: „Chrystusem narodów“, tak samo bowiem był męczony i poniewierany jak Chrystus, wyrażenie zaś to wybitnie poetyckie, jak wiele innych wyrażeń podobnego rodzaju, bynajmniej nie znaczyło ubóstwiania własnego narodu, lecz podniesienie do apoteozy męczeństwa znoszonego dla idei podziwianej przez ogół i bronionej z zapałem. W tym poetyckim zwrocie myśli, który jak wszelki w ogóle zwrot poetyckiego uniesienia poddawanym być może ścisłej, w odniesieniu do określonego przedmiotu, krytyce jedynie — przez pedantów przypisujących zwykle więcej znaczenia zewnętrznej stronie

Portrety i pejzaże na wystawie przeważają. Generacye poprzednie uwieczniając się w portretach czyniły to w chęci pozostawienia drogiej pamiątki przyjaciołom czy krewnym. — Dziś zwyczaj ten zupełnie zaginął. Dziś, ktokolwiek daje się malować, czyni to by podziwiać siebie samego przeniesionego na płótno o ile możności przez najgłośniejszego artystę. O próżności i pysze mówią głośno te nieskończone rzędy portretów. Co do pejzaży, po większej części impresyonistycznie pojętych, to prawie wszystkie napiętnowane są melancholią chorobliwą, i jak gdyby w gorącem zdenerwowaniu i pospiechu rzucone na płótno. Świadczą one o stanie nerwów francuzkiej publiczności. — Anemia, histeryzm — zdolność odczuwania wiecznie wibrującymi nerwami najsubtelniejszych sensacyi, a zupełna nieomal niezdarność zrozumienia silnych, prostych i zdrowych dzieł plastyki. Publiczność takich ma malarzy na jakich zasługuje — nie moje to zdanie, ale uważam je za najzupełniej słuszne.

Przeszedłszy obojętnie koło całego szeregu mało interesujących obrazów i obrazków zatrzymuję się z uczuciem nieopisanej przyjemności przed dziełami p. Dagnan-Bouveret. Temu banalności zarzucić nie można: wszystko co nam daje, doprawdy godne uwagi.

W tym roku przedstawił malarz Boga-Człowieka w Getsemanii w chwili strasznych cierpień i trwogi, które Mu wyrwały westchnienie: „Smutną jest dusza moja aż do śmierci.“ Tło ciemne — Chrystus przedstawiony stojąco, promienny nadnaturalną jasnością, z rękoma opuszczonemi na fałdy szaty białej i oczyma jakoby wpatrzonemi w swe własne gorzkie, bolesne myśli. Postać pojęta głęboko, wykonanie proste, bez cienia szukania efektu. Podług mnie, jest to jedno z najlepszych płócien wystawy. Prócz Chrystusa dał nam jeszcze malarz trzy portrety i rodzajowy obraz: „Sprzedawaczka gromnic.“ Dwa portrety męzkie: panów Meunier i de Saint-Marceaux, bardzo podobne, jak utrzymują ci, którzy modele znają, i portret artystki teatru francuzkiego p. Bartet. Oddać pendzlem delikatność urody, a przedewszystkiem urok i czar nieopisany, nieomal niepochwytny p. Bartet, trudne to wielce zadanie — a jednak p. D. B. prawie zadawalniająco się z niego wywiązał. Górna zwłaszcza część twarzy bez zarzutu — dolna mniej szczęśliwa, uśmiech i wyraz ust nie pochwycone dokładnie. Tło portretu — Paryż nocą — mistrzowsko oddany. Portret w każdym razie nadzwyczaj interesujący, pełen uroku i szlachetności. W sali obok widać jasne, jaskrawe malowania p. Bernard. Trzeba się przyzwyczajać — długo przyzwyczajać do maniery p. Bernard — aby uznać przymioty rzeczywiste, które posiada — i oddać mu przedewszystkiem sprawiedliwość, jako wielkiemu koloryście. Jego portret pani B. tak na pierwszy rzut oka razi, że się mimowoli głowę odwraca. Kobieta w jasnej żółtej sukni, oświetlona jaskrawo, z ręką wyciągniętą ku kominkowi, na którym żarzą się węgle — tłem pokój zielony, szmaragdowego koloru. Koloryt świetny, przepyszny, wykonanie szerokie, i najkompletniejsza wzgarda dla gustu widza, najzupełniejsza swoboda i wolność pojęcia i oddania. — Może być p. Bernard sympatyczny lub antypatyczny swojem malowaniem, jest pełno osób, nawet malarzy, wstrząsających się po prostu na jego nazwisko, ale w każdym razie banalny ani codzienny nie jest. Łatwiej zrozumiałe jest drugie jego dzieło; dwa konie nad brzegiem morza. Jeden z koni jest najpiękniejszego liliowego koloru — a jaki pyszny rysunek, jaki pyszny ruch — a przedewszystkiem jaka orgia światła — jakie parzące poprostu plamy słoneczne na wilgotnym bruku — i jaka cudna dal morska, zielona. „Konie w konfiturze“ słyszę uwagę jakiegoś, jak z żurnalu mód wyciętego panicza. Miałem ochotę przypomnieć mu słowa Rembrandta: „La peinture sent mauvais“ i poradzić mu, by zamiast kłaść nos na płótno odstąpił o kilkanaście kroków w tył. — Musiałem się jednak uśmiechnąć, bo rzeczywiście patrząc blizko bruk w cieniu wyglądał jak porzeczkowa marmolada.

P. Puvis de Chavannes przysłał na wystawę całość dekoracyjnych kompozycyj przeznaczonych dla Ratusza. Na przeszłorocznej wystawie figurował już szkic wystawionego obecnie dzieła: „Victor Hugo ofiarujący swą lirę Paryżowi.“ W tym roku obraz wykończony, lepiej go zrozumieć i ocenić można. Postacie suche w szkicu, skąpane są teraz powietrzem, niebo zielonawe, przejrzyste, przysłonięte gdzieniegdzie złotemi chmurami. Grupy męzkie niezupełnie zadawalniają, za to kobiece postacie czyste, pogodne, szlachetne. Wszystko to szczere żyjące na tle błękitu i złota. Grupy odpowiadają sobie i kompletują się — kompozycya pełna równowagi, kolory harmonijne idące gamą począwszy od ziemi odcieniem liliowej aż do jasnych zieloności i chmur złotawych.

James Tissot zajmuje na parterze dwie salki w których wystawia sceny z Ewangelii — a raczej całą Ewangelię w ilustracyach. Artysta przedstawiający w tych kilkuset akwarelach wszystkie epizody z życia Chrystusa odbył dwukrotnie podróż do Ziemi Świętej, by się przejąć swem dziełem i postaci Chrystusa dać ramy wierne i właściwe. Stanąwszy przed tą kollekcyą obrazów, odnosi się nieomylne wrażenie, że się ma przed oczyma dzieła głęboko obmyślane, oddane z zapałem szczerym i przekonaniem — a nie banalną ilustracyę, na zamówienie sporządzoną, bez natchnienia i zamiłowania. Już za to samo należy mu się słowo uznania i pochwały, i opinią nietylko utalentowanego, sumiennego malarza, ale także historyka głębokiego, oświeconego i szczerego.

W wystawie tegorocznej pan Roll powrócił znowu do tak dobrze zrozumiałych i z prawdziwem uczuciem oddawanych studyów natury. Paleta jego straciła może trochę na świetności, przymiotów ma jednak jeszcze dosyć, by malarza postawić w rzędzie lepszych tegorocznych mistrzów. „Ouvriers de la terre,“ głęboko odczute, a proste niedeklamacyjne; „La nourrice Cattet,“ oryginalnie z dołu oświetlona.

P. Duez przysłał 7 obrazów. Potretów jego nie lubię, nie odznaczają się niczem. Ładne są za to kwiaty, oddane z wielką lekkością i wdziękiem — zdają się drżeć na łodygach jak żywe. Czerwone maki i hortensye na tle morza po prostu cudowne.

„La dame en jaune,“ Alfreda Stevens'a namalowana z prawdą dochodzącą do możliwych granic oddania i mistrzowską techniką. Również ciekawa reszta obrazów p. Stevensa. Są tam zwłaszcza dwa pejzaże nadmorskie, od których się trudno oderwać — i do których obiecuję sobie wrócić jeszcze niejednokrotnie.

O p. Carolusie rozpisywać się nie będę. Znany i u was wielki jego talent. Wiecie, że jest jednym z najlepszych portrecistów naszej epoki. Wszystkie jego tegoroczne portrety te same mają przymioty wielkiego talentu. Portret mężczyzny grającego na mandolinie jest jeszcze świetniejszym od reszty, ręce po mistrzowsku oddane — jak narysowane! jak charakterystyczne! Mniej lubię pejsaże p. Duranel — widać, że od niechcenia, w wolnych chwilach mazane na płótnie. — Obraz przedstawiający Chrystusa na krzyżu między łotrami, Święte Niewiasty u stóp i tłum i wojsko — zupełnie szkicowo traktowane.

P. Whister malujący dotychczas prawie bez wyjątku zachody słońca, lubujący się w cieniach i zmrokach, sprawił nam niespodziankę. Jego widoki nadbrzeżne, przywiezione z Bretanii skąpane są w świetlanej atmosferze dziennej. Patrząc na jego morze trudno wierzyć, że to tylko naśladowanie natury. Ruch ciężki fal rozlewających srebrną pianę na brzegi — lub wiatrem targanych — łodzie ukazujące się i znikające naprzemian, kołysane rytmem bałwanów — to wszystko żyje, — żyje i drga ta cała modra przestrzeń. Z portretów p. Whistler najwięcej

---

wyrażenia, niżeli kryjącej się pod niem myśli, szukać jedynie należy bezmiernej boleści na widok ciągłych i nieustannych cierpień, ciosów i nieszczęść spadających na zngkane i sponiewierane niedolą społeczeństwo. W tem atoli idealizowaniu męki i cierpień narodu, w tej apoteozie męczeństwa dla odrodzenia się w nowych kształtach niekrępowanego bytu, pewien odłam pisarzy dopatrzył się cech zgubnych, zagrażających społecznemu istnieniu i pod wpływem trwogi o zachowanie spokojnej i nie mąconej kataklizmami egzystencyi zapewniającej chleb powszedni — uderzył na alarm. W lat kilka po katastrofie roku 1863go utworzył się obóz stańczyków przejęty dążnościami „otrzeźwiania“ narodu, jednocześnie zaś z rozłożeniem się owego obozu, wyłonił się kierunek publicystyki historycznej noszący na sobie wybitne znamię owych „otrzeźwiających“ dążności. Odtąd po raz pierwszy w Polsce rozpoczęło się stosowanie dowolne historyi do tych wymagań, jakiemi w danym razie przejął się publicysta, naginanie prawdy historycznej do potrzeb bieżącej chwili indywidualnie pojmowanych, tłumaczenie zjawisk bytu przeszłego na podstawie prądów bieżącego stulecia, jednem słowem nicowanie całej przeszłości na wywrót, a wszystko to w celu jedynym i wyłącznym, aby oblać zimną wodą głowy „marzycieli“, którzy wierzyli, iż jest jakiś związek pomiędzy walkami przeszłości i dążnościami obecnej doby. Starano się poprostu wystawić przeszłość jako niedorzeczność potworną, w której słabe odblaski popędów szlachetnych zagłuszone były niepowściągnionem rozpasaniem ogółu.

Odtąd w zapale i ferworze dowodzeń posunięto się do twierdzeń, że wpływ zachodniego „łacińs̈twa“ zgubił słowian, wpływ zaś średniowiecznej greckiej oświaty i kościoła greckiego dopomógł do niezależnego bytu tym Słowianom, którzy przenieśli na swe łono cywilizacyę bizantyjską*), że dzieje polski składają się z samych błędów politycznych że wszystko, co zrobiono w wiekach przeszłych, było złem i do gruntu fałszywem, że cała niemal ewolucya działań ubiegłych była spaczeniem na każdym kroku dobrze zrozumianych zasad istnienia. Postawiono w stanie oskarżenia nieledwie każdy wypadek dziejowy, obarczając dowolnie dawne pokolenia zarzutami o sprzeniewierzenie się ideom, które zostały nabytkiem wieków późniejszych. Chciano aby Polska, zamiast szerzyć swój wpływ na Ruś, walczyła z Zachodem, kiedy czuła się z nim zsolidaryzowaną wobec najścia Mongołów, a następnie wobec rozciągniętego przez nich nad Rusią dwuwiekowego jarzma, ostatecznie zaś wobec dziedzictwa przypadłego po nich w udziale Caratowi w jednej części, a Chanatowi Krymskiemu w drugiej, — i domagano się tej walki z Zachodem od Polski, bez względu na to, iż z tego właśnie Zachodu przyjęła swą cywilizacyę, a nawet myśl swobód politycznych**) rozwiniętą następnie na podstawie swojskich pierwiastków. Polsce, która w dobie Jagiełły była par excellence katolicką, poczytano za zdradę interesów plemiennych, iż nie popierała w Czechach husytyzmu: chciano, iżby w wiekach, w których idea narodowości najmniejszej nie grała roli, Polska nie zrzekała się Szlązka; szlachetną do gruntu politykę Zygmunta I nazwano niedołężną, a panowanie jego „smutnem***) — epokę tę nadomiar określono nazwą „czasów politycznego upadku“*).

*) M. Bobrzyński. Dzieje Polski w zarysie. Warszawa. 1879 r. str. 48—49.

**) W r. 1215 Anglia uzyskała Wielką Kartę, w r. 1222 Węgry otrzymały Złotą bullę, w r. 1302 Francya pozyskała Stany Generalne; w r. zaś 1355 Polska wyjednała u Ludwika Węgierskiego pierwsze przywileje narodu, co do współdziałania z rządem w sprawach państwa dotyczących.

***) Bobrzyński. l. c. 258.

*) l. c. str. 261.

(Ciąg dalszy nastąpi).

zasługuje na uwagę portret p. de Montesquiou. Doskonały, zdradzający charakter modelu, jego wartość moralną i intelektualną. Oddanie wytworne, pewne, bez błądzeń i wahań.

P. Friant, nieszczęśliwy miał w tym roku pomysł, przedstawiając robotnika całującego młode dziewczę wobec szeroko otwierającej swe niewinne oczy małej dziewczynki. Przymioty pendzla nie ratują brutalności i brudnego realizmu pomysłu.

Dużo by jeszcze nazwisk przytoczyć można — ale miejsca już nie mam, i nie wielka ztąd szkoda. Artyści, których pomijam dali nam mniej więcej to, co przeszłego roku: talent ich ani na nowe tory nie wstąpił, ani się też nierozwinął się w dawnym kierunku. Wspomnę jeszcze tylko, że dział pasteli bardzo był w tym roku dobrze przedstawiony — widziałem tam kilka młodych talentów mających przyszłość przed sobą. O akwarelach można to samo powiedzieć. Prześliczne pejzaże akwarelą przysłała p. Ruth Mercier. Kwiaty p. Lemaire jak zawsze przepyszne.

Rzeźb na polu Marsowem w tym roku mało. Ładny biust kobiecy p. de Saint-Marceaux. i tego samego miękka, nieudana akademia. Kilka dobrych rzeźb p. Cordier, z świata zwierzęcego. Jedno z najpiękniejszych dzieł to bezwątpienia La Lassitude p. Michel-Malherbe, jedno z najwięcej przejmujących to La Misère p. Desbois. Panna Camilla Cladel wystawiła postać z grupy „le Dieu envoolé,“ kobietę młodą na kolanach, z załamanemi desperacko rękoma, z torsem w tył rzuconym i twarzą wzniesioną. Całe ciało drga bólem i beznadziejną rozpaczą.

An. Ma.

Szkoła i wychowanie.

Uwagi
z powodu prac uczniów poznańskiej król. szkoły budowniczej.

(Dokończenie.)

W kursie IV., czyli klasie I spoczywa punkt ciężkości w opracowaniu przeróżnego rodzaju projektów z budownictwa miejskiego i wiejskiego. Widzieliśmy tu projekty do wolno stojących wil, do domów mieszkalnych przedmiejskich, do restauracyj i domów czynszowych. — wszystkie opracowane nie mniej w szczegółach architektonicznych jak i konstrukcyjnych. Przytem zapoznają się w tym kursie uczniowie, przeszedłszy w poprzednim naukę wytrzymałości, bliżej z teoryą różnych konstrukcyj, jak dachów, sklepień itp. zachodzących przeważnie w budownictwie krajowem; wykonywają projekty do różnego rodzaju przebudowań z zastosowaniem żelaznych konstrukcyj; przechodzą urządzenia różnych palenisk i zwykłego ogrzewania; dalej kanalizacyi i zaopatrzenia domów w wodę; poznają ważniejsze sposoby zachodzącego u nas fundamentowania i wykonywają do każdej nauki różnego rodzaju ćwiczenia rysunkowe, które nieraz stosunkowo znaczną wprawę nabytą w szkole przez 2 letnie ćwiczenia okazywały.

O zatrudnieniu kompletnem ucznia klasy I nie mogliśmy sobie zupełnie dokładnego wyrobić pojęcia, ponieważ prace uczniów z egzaminu trwającego coś przeszło 3 tygodnie nie były wystawione, z nichby zaś można dopiero wywnioskować, o ile każdy uczeń nauczył się w szkole samodzielnie pracować. Z naszej strony stawilibyśmy pytanie, czy przy obecnej wolności procederowej egzamin tak uciążliwy, zaprowadzony od 11 lat w pruskich szkołach budowniczych, ma w ogóle racyę bytu, jeżeli prócz zwykłego polecenia w służbie prywatnej daje tylko uprawnienie do zajmowania podrzędniejszych miejsc w służbie państwowej lub komunalnej. Czyż nie lepiej byłoby egzamin taki znieść zupełnie, jak to się już stało w król. szkołach budowniczych saskich i czas w ten sposób zyskany obrócić na opracowanie pod okiem profesorów drugiego projektu, a ucznia wypuszczać ze szkoły z świadectwem, wystawionem mu tylko przez kolegium nauczycielskie, które śledząc ucznia przez czas dłuższy zapewne lepszy o nim sąd sobie wytworzyć może aniżeli majstrowie cechowi, zasiadający obok grona nauczycieli w komisyach egzaminacyjnych, którzy ucznia tylko sądzić mogą według odpowiedzi udzielanych w przeciągu pięciu godzin pod wpływem febry egzaminowej.

Nie byłożby korzystniejszem przynajmniej, aby egzamin skrócić o połowę lub o $^1/_3$ czasu? Oto pytania odzywające się już nieraz w prasie technicznej, na które zapewne nie długo czekać wypadnie odpowiedzi.

Pominąwszy powyższe stosunkowo drobne uwagi, wystawa ta szkoły budowniczej nie obliczona bynajmniej na efekt, wywarła na znawców wrażenie bardzo korzystne i wykazała dosadnie dążność szkoły do rozwinięcia u nas budownictwa na podstawie cegły i naturalnych materyałów, z których istoty konstrukcye i ich ozdoby wynikać powinny. Pochwalić należy szkołę, iż nie schlebia rozwielmożnionej w Poznaniu, a importowanej z przedmieść berlińskich, modzie pstrzenia pseudo-monumentalnych facyat daleko wystającymi gzymsami drewnianymi lub sztukateryami przeróżnej pomysłowości, przypominającemi raczej warsztat cukierniczy aniżeli poważne pałace włoskie lub francuzkie, których marmurowe fronty u nas nietrwałym sztukiem naśladowaćby się chciało.

Również pochwały godnym jest widoczny w szkole nacisk wielki na gruntowne i wszechstronne opracowanie części konstruktywnej w każdem zadaniu, wobec czego architektoniczna strona na drugi plan ustąpić może, ponieważ zadaniem szkoły rekrutującej się z różnorodnych pierwiastków, o wykształceniu tu elementarnem, a tam prymanerskiem pozostanie zawsze w pierwszym rzędzie nie kształcenie architektów lecz przysposobienie dobrych i praktycznych majstrów mularskich lub ciesielskich, w których ręku większa część naszych prywatnych budowli wyłącznie spoczywa. Nie monumentalne budowle lecz dom mieszkalny obywatelski powinien być głównym przedmiotem, około którego zadania szkoły budowniczej obracać się powinny; na tem ograniczeniu się do tak pozornie skromnego, a mimo to niełatwego zadania polega cała mądrość utrzymania szkoły budowniczej na torze właściwym i wyrobienia jej wpływu rozciągającego się przynajmniej na budownictwo prywatne w naszem Księstwie.

Jeżeli rozpisaliśmy się przy tej sposobności szerzej aniżeli wystawione prace uczniów na to zasługują, to działaliśmy w tej myśli, aby w publiczności naszej obudzić żywszy interes dla tej świeżej, choć z funduszów antypolskich powstałej ale wzorowo urządzonej i prowadzonej instytucyi, z której nam o ile tylko można korzystać należy. Przy tem musimy zadać sobie pytanie, zkąd pochodzi, iż w dzielnicy naszej przez Polaków przeważnie zamieszkałej stosunek Polaków do Niemców w szkole tej przedstawia się jak 1 : 5.

Czyżby u nas nie było rzeczywiście potrzeby większej ilości mistrzów mularskich lub ciesielskich? Tak! liczebnie jest może w stosunku do budującej publiczności polskiej i w Poznaniu i na prowincyi dosyć takich, którzy się zowią mistrzami mularskimi i ciesielskimi lub zgoła „budowniczymi“ albo też takich, którzy, przy obecnej wolności procederowej samowolnie przybrali tytuł „architekty“ lub „inżyniera,“ lecz jakość tej liczby jest dosyć wątpliwej wartości, a ledwie połowę z tych „budowniczych“ znalazłbyś takich, którzyby się z prawidłowego ukończenia dobrej szkoły budowniczej wykazać mogli. Przy ubóstwie zaś umysłowem nie dziw, że nie wielu Polaków tego zawodu wobec fachowej przewagi żywiołu niemieckiego dobija się póżniej majątku i znaczenia.

Do wytworzenia tak niewłaściwego stosunku może też przyczyniły się po trochu niektóre wpływowe organy prasy naszej, które drukując łamy całe o Argentynie i powstaniu brazylijskiem nie znalazły czasu i ochoty do przedstawienia właściwego znaczenia takiej szkoły dla podniesienia przemysłu budowlanego, a przy wzmiankach o niej przedrukowanych z innych gazet poziom jej jakby tendencyjnie obniżać się starały.

Za najgłówniejszą jednak przyczynę powyżej określonej proporcyi uważalibyśmy wrodzoną nam chęć do szukania wiedzy za granicami Księstwa, choćby ją tutaj wiele łatwiej i taniej zdobyć można, — jako też brak zmysłu do wytworzenia i w tej gałęzi przemysłu silnej klasy średniej o średniem ale w ramach swoich skończonem wykształceniu zawodowem.

U nas mieszczanin, jeżeli tylko może, oddaje syna do gimnazyum nie zbadawszy należycie ani czy dziecko będzie miało zdolności do wykształcenia wyższego, — ani też, czy jemu samemu nie zabraknie środków na doprowadzenie tak rozpoczętego wykształcenia do końca — choćby przy „Pomocy Naukowej.“ Chłopiec w takich stosunkach doprowadzony w gimnazyum, o krwawym pocie rodziców aż do jednorocznej służby, uważa się już często za nadto doskonałego, aby iść do warsztatu fabrycznego lub na 2-letnią praktykę mularską, czy też ciesielską; pragnie on bez tego zostać łatwiejszym sposobem od razu architektą lub inżynierem, idzie więc na jakie prywatne technikum niemieckie, gdzie odgrywać może rolę akademika, albo zapisuje się jako hospitant w jakiej politechnice, gdzie czas tylko niepotrzebnie marnuje, nie rozumiejąc połowy wykładów, a zbyt późno przychodzi do przekonania, że dla niego podstawą wykształcenia zawodowego powinna była być poprzednia praktyka w obranym zawodzie. — Ztąd potem wyradza się niezadowolniony z siebie proletaryat techniczny, który zbyt często nie powraca nawet do kraju, a u nas nastaje niedobór ogólny w zawodzie swym należycie wykształconych majstrów.

Czyżby nie lepiej było, gdyby mniejsi właściciele ziemscy i mieszczanie nasi oddawali mniej uzdolnionych synów swoich do szkół średnich, które w obecnych stosunkach, wskazujących nam coraz więcej dróg przemysłu, nabierają tem więcej racyi bytu! Z nich to otrzymują szkoły budownicze najlepszych uczniów, którzy później kształcą się dalej na chlubę zawodu swojego.

Zresztą pobyt w szkole budowniczej ucznia, przychodzącego do niej nawet w dojrzalszym wieku, nie wyklucza bynajmniej w razie wybitnych zdolności, dalszego kształcenia na politechnice; pobyt ten przeciwnie ułatwi mu zrozumienie politechnicznych wykładów.

Wiadomo nam też, iż kilku ze znamienitych młodszych architektów niemieckich, którzy w różnych konkursach z powodzeniem udział brali, początkowe wykształcenie swe w szkołach budowniczych pobierali.

Że szkoła taka, z językiem wykładowym polskim, wiele więcej korzyści uczniom polskim przyniešćby mogła, jest niewątpliwem: w obecnych stosunkach wszakże wyglądać ustępstwa takiego od rządu pozostanie chwilowo pium desiderium. W Galicyi są wprawdzie, w Krakowie i Lwowie, t. zw. wyższe szkoły przemysłowe o 4 wydziałach, z wykładowym językiem polskim, w których wydział budowniczy odpowiada naszej szkole budowniczej, lecz nauka w 2 tych szkołach jest zastosowana głównie do potrzeb tamtejszych, a świadectwo ze szkoły takiej nieuprawniałoby u nas do żadnego urzędowego stanowiska. Jeżeli już dla tych powodów galicyjskie szkoły nie mogą dla nas wchodzić w rachubę, pozostaje dla młodzieży naszej kształcącej się na mistrzów mularskich lub ciesielskich, z niemieckich szkół tego rodzaju — najodpowiedniejsza szkoła budownicza w Poznaniu.

O ile z 3 dorocznych wystaw jej o sposobie nauczania wnosić można, znajduje się ona w najlepszem stadyum rozwoju, a postęp w niej ku doskonałości widoczny; również organizacyę jej za racyonalną, zdrową i — z wyjątkiem braku polskiego języka — za zastosowaną do potrzeb Księstwa uznać musimy.

Wielka zasługa w tym kierunku leży po stronie dobrego, a sprężystego kierownictwa zakładu, spoczywającego w rękach na polu szkolnictwa zawodowego zasłużonych i doświadczonych; nie mała zaś część z niej spada na kierowników pojedyńczych nauk i ćwiczeń, którzy jako ludzie w zawodzie swym należycie wykształceni umieją myśli organizatorów wprowadzić w czyny.

Dla tego społeczeństwo nasze nie powinno istnienia tej pierwszej w dzielnicy naszej na

większą skalę założonej i uposażonej szkoły zawodowej pomijać nadal milczeniem, lecz starać się przedewszystkiem, aby frekwencya szkoły przez Polaków stale i w stosunku do naszej liczby się podnosiła, a przy niej przemysł nasz budowlany coraz się więcej rozwijał.

— *a.*

NA WYŁOMIE.

(Wyzyskiwanie patryotyzmu na scenie. Występy p. Konopki. Niemoc Uriela.)

Widziałem nieraz trzeciorzędne szansonetki niemieckie, które spędzone sykaniem i potokiem zgniłych jabłek ze sceny, ukazywały się nagle w narodowych barwach i zanuciwszy piskiem przeraźliwym „Deutschland, Deutschland über alles“, entuzyazmowały publiczność. Spekulacya na patryotyzm tłumów nie zawodzi nigdy. a tani efekt patryotycznych ostentacyi stał się ulubionym konikiem ogródkowych artystów. którzy straciwszy wyższe atuta talentu, chwytają się ostatniej deski ratunkowej: kostyumów i pieśni narodowych. W pierwszorzędnych „Varietés“, gdzie wybitniejsze siły wstępują na deski, rzadko tylko zjawia się na scenie śpiewający lub deklamujący patryotyym, ale za to daleko w głuchej prowincyi. gdzie zniszczony cygan artystyczny ochrypłym głosem błaga o poklask dla resztek talentu i grosze dla portmonetki pustej, figuruje zwyke na afiszach „numer patryotyczny“ jak brawurowa produkcya. Zdarty humor podtatusiałego komika zawodzi. wrzaskliwa szansonetka miłosnym trelem nie rozgrzeje nikogo, podrzędny recytator Hamletowskim „być albo nie być“ w melancholijną zadumę nie upowije słuchaczy. i nuda ziewająca i chłód przeraźliwy wśród publiczności królują. Nagle zjawia się armja cygańska w mundurach patryotycznych: komik udaje wojaka-inwalidę. szansonetka zmienia się w „Germanią“, recytator w Barbarossę i w rożnorodnych warjantach huczy po sali „Die Wacht am Rhein“. Oklaski, radość, entuzyazm — tableau! To samo dzieje się wszędzie. — dzieje się we Francyi. gdzie Marsylianka niejedną miernotę artystyczną ratuje przed wygwizdaniem. dzieje się i u nas. gdzie nawet blagier-spirytysta Czyński zapoczątkował seanse swoje apelem do patryotyczaych uczuć publiczności. Z takich doświadczeń rozwinął się w umyśle moim pewien sceptycyzm w obec „patryotycznych numerów“ i mimo całej sympatyi dla strojów narodowych lękam się koncertantów i deklamatorow. którzy w kontusz i pas lity przybrani na estradę wstępują. Niechaj mi zatem p. Konopka wybaczy. że gdy na mieście zaczęto sobie opowiadać o jego czarnym kontuszu, śpince brylantowej i srebrnych guzach, — gdy nawet dzienniki w reklamach swoich zwróciły uwagę na kostyum narodowy, uczułem jakiś dreszcz nieprzyjemny, jakieś przeczucie blasków fałszywych. Po pierwszym występie recytatora nie śmiałem otwarcie wyspowiadać się z wrażeń wyniesionych, bo zdążywszy zaledwie na koniec deklamacyjnego wieczoru, nie miałem prawa sądzić artysty. Uderzyła mnie jednak wonczas już obok pewnej giętkości głosu, nieczystość wysilonych fortissimów. timbre pozbawione dramatyczności i gdzieniegdzie nawskroś fałszwa interpretacya recytowanych utworów. W modulacyi znać było pracę mozolną i długoletnią rutynę, ale materyał głosowy wyczerpał się. struny odstrojone zagrały nieraz dysonansem i czarny kontusz okrywał strzępy dawnej świetności.

Sądziłem, że to chwilowa niedyspozycya obniżyła poziom artystyczny recytatora, pieściłem się nadzieją. że poznawszy dokładniej repertuar p. Konopki, zmienię opinią moją i z niecierpliwością oczekiwałem wtorkowego wieczoru: „Uriela Acosty“ Gutzkowa. „Pan Konopka nie posługuje się mimiką przy deklamacyi: siedząc recytuje z pamięci i głosem tylko charakteryzuje osoby dramatu“, — tak nam mówiły dzienniki miejscowe, urabiające już naprzód opinią dla kontuszowego artysty. Zadanie istotnie trudne. Rozwiązać je może tylko talent pierwszorzędny, który obok niezwykłej gimnastyki głosu posiada talent metamorfozy psychologicznej. Czekamy! Przemów do nas jękiem bolesnym i potęgą idei Uriela, zagrzmij semicką zaciekłością przeklinającego De Santosa. łkaj cichem żalem i błyskaj potężną miłością Judyty, bądź światłym De Silvą, wolnomyślnym sybarytą Manassem i rozbolałą Esterą, a potem o laur się upomnij.

Czekamy!

Konopka mówić zaczyna.

Wsłuchuję się w ten cudowny język. w który Antoniewicz przekład swój oprawił, ale tylko znajomość utworu pozwala mi orjentować się w sytuacyi. Upajam się brylantowym blaskiem myśli i kaskadą słów perłowych, ale głos recytatora mieni się dziwacznie. artysta nie pojmuje dokładnie zawartości ideowej. i psychologicznej dramatu. — Akt II posiada wspaniałą scenę klątwy semickiej. U bram ogrodu rozlegają się baranie rogi i rabi Santos zjawia się na scenie, aby cisnąć przekleństwo na głowę mędrca młodego, który zuchwale targnąć się odważył na dogmatyczność talmudu. Ta klątwa słynna wymaga niesłychanej potęgi i dramatyczności głosu. Jest to wściekły ryk fanatyzmu żydowskiego, jest to zgrzyt nienawiści wyuzdanej, nie potępienie. lecz szał potępienia. Rozlega się deklamacya recytatora, — jakiś krzyk patetyczny bez nerwu dramatycznego, nie gromów muzyka, lecz suchy odgłos pękniętego dzwonu. A potem. gdy Judyta wznosi się do wyżyn bohaterstwa i tuli się do znękanej piersi opuszczonego przez wszystkich Acosty. jakże nieszczerą nutą zabrzmiał głos Konopki. W następnych aktach uderzał znowu brak indywidualizacyi i tak fałszywa interpretacya. że czarująca poczya Gutzkowa zmieniała się w jakieś zagadkowe dziwolągi. Mimo gwałtownych wysiłków recytatora nie utrzymała się żadna rola w jednolitym tonie, a głos zmęczony błąkał się bezustannie, mieszając Uriela z Judytą. Silvę z Manassem, Ben Jochaja z rabi Santosem. Ponieważ p. Konopka nie wymieniał nazwiska osoby przy każdej nowej „kwestyi“ — jeżeli posługiwać się wolno zakulisową nomenklaturą — zatem słuchacz w waryacyach głosowych szukać musiał pożądanej informacyi, a szukał jej. niestety, napróżno. Tendencya indywidualizowania głosu przejawiała się wprawdzie gdzieniegdzie w deklamacyi Konopki. ale było to wszystko tak wymuszone i tak pozbawione konsekwencyi, że w mózgu pozostawiało wrażenie niesmacznego chaosu. Rzadko recytator wstrząsał nas prawdą boleści i artystycznem cieniowaniem uczuć, a głos jego tylko w nizkich, tłumionych tonach nie raził krzykliwością i fałszem. Najgłębsze wrażenie wywarła na mnie potężna scena, gdy Acosta bezdźwięcznym. wyszarpanym z piersi głosem odwołuje przed ludem żydowskim i rabinów zgrają swoje credo religijne. Cóż? kiedy zachwyt trwał zaledwie chwilkę. Gdy Ben Jochai zdeptać pragnie tarzającego się w prochu pokutnika. gdy Uriel zrywa się, cofa odwołanie swoje i urąga przedstawicielom talmudycznej mądrości, — jakże banalną i bezsilną była deklamacya Konopki!

Nie! Uriel Acosta przechodzi stanowczo siły krakowskiego recytatora, a wdzięczność należy mu się chyba za to, że przypomniał nam znowu ten wspaniały utwór Gutzkowa, który od czasu pamiętnych występów Żelazowskiego nie ukazał się ani razu na poznańskiej scenie. A przecież p. Skirmunt w roli Acosty to mistrz! Jego Uriel jest istotnie nie wyleczonym jeszcze z niemocy romantyzmu marzycielem. — bałwochwalcą rozumu, nad którego kolebką śpiewał „weltszmerz“ niemiecki i spuściznę słabości w sercu pozostawił. Takim jest Uriel. bo takim był twórca jego, wychowaniec Heglowskiego „fetyszyzmu rozumowego“, a w głębi duszy sceptyk rozpłakany nad bezsilą mózgu i zmęczony kultem myśli ludzkiej, która szaloną bytu napróżno targała. A my, dzieci konającego wieku, ileż tonów pokrewnych w muzyce Urielowskiej duszy znajdujemy? Po wielkiej orgii pozytywizmu, który tylko gorycz zawodu w sercu pozostawił, umysł nasz znużony, i zdala płynie ku nam cichy szept Uriela:

O denke nicht mein Kind! Schlaf wie die Blume,
Die hold in ihrer bunten Schönheit blüht
Und sich nicht kümmert, wer sie wohl erschuf.

Sulla

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 15 maja.

(Akademia Umiejętności).

Doroczne publiczne posiedzenie Akademji Umiejętności odbyło się dnia 5 maja. Pierwszy raz zdaje się od czasu jej założenia brakowało na tem posiedzeniu jej prezesa. który podążył do łoża umierającego brata. Zastępstwo na uroczystości prezesa Akademji przypadło w udziale jej wiceprezesewi, rektorowi Uniwersytetu dr. Zollowi. Ze Lwowa przybyli na posiedzenie pp. Bobrzyński. Cwikliński. Wojciechowski. Kubala, Pilat, Franke, Ochinkowski. Niedźwiecki, Semkowicz. Kadyi, Abraham i Kalina.

Posiedzenie zagaił jak w dwóch latach poprzednich zastępca protektora Akademji arcyksięcia Karola Ludwika. J. E. dr. Dunajewski. W przemówieniu swojem położył mówca nacisk na przygotowawcze prace do wydawnictwa słownika języka staropolskiego. „Będzie to wielką zasługą Akademji — mówił J. E. — zapoznać dzisiejszą generacją z zapomnianemi już skarbami naszego języka i oczyścić mowę ojczystą od wyrazów nagle i wskutek chwilowej potrzeby sztucznie a nieorganicznie tworzonych.“ Mówca zwrócił dalej uwagę na ogólne zajęcie jakie powinny obudzić wyciągi z aktów kapitulnych ułatwiające głębsze poznanie wewnętrznych stosunków Polski w XV wieku. Do zewnętrznych znowu stosunków z tego czasu przynosi cenny materjał Codex epistolaris saeculi XV. W ogóle Akademja gorliwą pracą i poświęceniem zarządu spełnia swoje szczytne zadanie twierdzy przechowującej skarby języka i dziejów narodowych. Jest ona pochodnią rozświecającą przeszłość, a teraźniejszości wśród rozterek chwili wskazującą jedyną skuteczną drogę poważnej pracy, miary i prawdy.

Po tem krótkiem zagajeniu posiedzenia przez zastępcę protektora zabrał głos dr. Zoll. Rozpoczął od podziękowania JEkscelencji za słowa wysokiego uznania. Zaznaczył. iż przybywa prac coraz więcej, stąd też ruch wydawniczy spowodował nawet przekroczenia w niektórych rubrykach budżetu, a więc i wstrzymanie kilku ważnych publikacyi. Dla zwiększonych wydatków znajdą się jednak źródła większych dochodów. Już sejm podwyższył w roku bieżącym subwencyą roczną do 30,000 złr., a spodziewać się należy, iż starania zarządu, aby podwyższono dotacyą z funduszów państwowych, doznają poparcia ministra oświaty i delegacyi galicyjskiej w Radzie państwa. Lubo coroczne sprawozdania dają dostateczny obraz działalności Akademji. to przecież zarząd jej postanowił na wystawie krajowej zdać rachunek z tej działalności w obrazowem. każdemu przystępnem zestawieniu. Następnie dr. Zoll wspomniał o staraniach zarządu Akademji w celu przyspieszenia ustawy tyczącej się utworzenia ordynacyi ks. ks. Czartoryskich. która utrwali byt cennego muzeum i biblioteki. której cenne materyały złożyły się na kilka znakomitych publikacyi Akademji. Dzięki protektorowi arcyksięciu Karolowi Ludwikowi, ministerstwo sprawiedliwości posunęło tę sprawę naprzód. wnosząc projekt ustawy do Izby panów. Dług wdzięczności Akademji względem jej założyciela i protektora zwiększył się nowem zobowiązaniem, a każde z nich zadzierzga silniej węzeł łączący kraj z osobą monarchy. Ostatnie słowa p. wiceprezesa były zapewnieniem dalszego gorliwego spełniania wysokich zadań przez Akademją, co na-

rodowi polskiemu przynosi uznanie w świecie cywilizowanym i jest zarazem najpiękniejszym hołdem wdzięczności dla założyciela.

Następnie sekretarz jeneralny dr. Stanisław Smolka odczytał listę nowych członków Akademji. Na członka czynnego powołano jedynie dra Bolesława Ulanowskiego. Członkami korespondentami zostali na wydziale historyczno-filozoficznym Aleksander Jabłonowski i Aleksander Rembowski obaj z Warszawy; na wydziale filologicznym dr. Jan Bystroń z Krakowa, dr. Alwin Schulz, prof. uniwersytetu z Pragi, dr. Stanisław Tomkowicz, konserwator z Krakowa; na wydziale matematyczno-przyrodniczym dr. Ernest Bandrowski z Krakowa, dr. Tadeusz Browicz, prof. uniwersytetu w Krakowie, prof. Władysław Kulczyński w Krakowie, prof. Jan Ptaszycki w Petersburgu, prof. Julian Sochocki w Petersburgu i dr. Hugo Zapałowicz, sędzia (audytor) wojskowy w Wiedniu. Następnie dr. Smolka przystąpił do odczytania sprawozdania, poprzedzając je serdecznem wspomnieniem pamięci zmarłych członków: Augusta Cieszkowskiego, Józefa Łepkowskiego i Ryszarda Roepella. Ze sprawozdania, którego część będącą spisem prac naukowych rozdano w drukowanej odbitce, dowiadujemy się, iż w roku ubiegłym wydała Akademja 21 nowych tomów, nieliczące publikacyi sprawozdawczych. Pod prasą znajduje się nowych 19 tomów. Obszerniejszy ustęp poświęcony jest działalności stacyi naukowej w Paryżu, będącej dalszym ciągiem istniejącego tam poprzednio Towarzystwa historyczno-literackiego.

Z kolei nastąpił odczyt prof. Bolesława Ulanowskiego, „o ustroju wsi polskiej od XVI do XVIII wieku.“ Myśli przewodnie prelegenta w krótkim streszczeniu tak się przedstawiają:

Przy równouprawnieniu włościan nie wchodzono bliżej w zasady prawne organizacyi wiejskiej, ale z licznych nadużyć panów potępiano cały ustrój jako bezwarunkowo wadliwy. Wolno tak było rozumować reformatorom, nauka jednak nie może wydawać tak bezwzględnego wyroku o instytucyach, które długo istniały i miały swe znaczenie w ogólnym rozwoju cywilizacyi. Dopóki przestrzegano kontraktu regulującego stosunek pana do włościan, a objętego przywilejem lokacyjnym dopóty trudno mówić o ucisku włościan zachowujących zdolność prawną i posiadających wolność przesiedlania się. Z chwilą, gdy szlachta rozszerzyła tak swe przywileje, że w rękach jej spoczęło ustawodawstwo i sądownictwo, pogorszył się los włościan. Poddaństwa nie stworzył brak własności ziemi, ale monarsza niejako władza dworu. O ucisku jaki powstał nie możemy jednak wyrabiać sobie zdania z luźnych skarg i deklamacyi; do obrazu stosunków chłopskich winny nam służyć coraz obficiej płynące źródła. O stosunkach prawnych na wsi przynoszą informacye liczne księgi gromadzkie. Na ich podstawie możemy twierdzić, że istniały wsie, w których stosunek gromady do dworu polegał zawsze na kontrakcie lokacyjnym. Przyczyna więc złego leżała nie w instytucyach politycznych polskich, bo te dozwalały na ukształtowanie korzystnego stosunku między panem a poddanymi, ale w ludziach. Prelegent na poparcie swych twierdzeń przytacza księgi sądowe Kasiny wielkiej, leżącej w powiecie limanowskim. Prawda, że pan Kasiny (Niewiarowscy, a później Dominikanie krakowscy) miał władzę monarszą, był ustawodawcą i sędzią, ale poddani mają prawo do jego opieki i do ulg w ciężarach dworskich w razie klęsk elementarnych. W imieniu pana sądził wójt z siedmiu przysiężnikami, ale do pana mogły się odwoływać strony jako do wyższej instancyi. Gromada uczestniczyła w sądach, miała prawo uchwalać własne ustawy, obowiązujące dopiero po aprobacie pańskiej, przedstawiała dworowi swe życzenia, wstawiała się za przestępcami itd. Wójt był wybierany przez gromadę za potwierdzeniem pańskiem. Oprócz ławników byli i dziesiętnicy; mieszkańcy dzielili się na kilka kategoryi. Obszerny ustęp poświęcił prof. U. sądownictwu Kasiny. W całej organizacyi tej wsi gromada odgrywała wybitną rolę. Autonomija wiejska istniała i w teoryi i w praktyce; lud Kasiny zajmował się sprawami wspólnemi i uważał się wolnym, ulegającym jedynie dworowi jako władzy monarszej. Uczony prelegent nie uogólnia bynajmniej wyniku swych badań na cały stan włościański, dowodzi tylko, że tak było w Kasinie, tak więc było i w wielu innych miejscowościach, a więc zaprowadzenie uwłaszczenia poddanych dało wprawdzie włościanom równouprawnienie państwa, ale odjęło pewnej liczbie gromad udział w szerszej autonomii, jaką się za dawnych czasów cieszyły.

Na końcu posiedzenia dowiedzieli się zebrani z ust jeneralnego sekretarza, iż nagrodę imienia Barczewskiego w kwocie 1125 złr. przyznała Akademja p. Aleksandrowi Rembowskiemu za dzieło: „Konfederacya i rokosz w dawnem prawie polskiem.“ Nagrodę JM. Niemcewicza 1,800 franków otrzymał dr. Wiktor Czermak, za pracę konkursową: „Plany wojny tureckiej Władysława IV i jego stosunek do kozaczyzny.“ Nagroda konkursowa imienia Mikołaja Kopernika w kwocie 500 złr. przyznaną została dr. Ludwikowi Birkenmajerowi. Nagrodę imienia Barczewskiego za najlepsze dzieło malarskie zostawiono do dyspozycyi na rok bieżący, przez co Akademja będzie mogła udzielić od razu dwóch nagród najlepszym nowym dziełom malarstwa, jakie się ukażą na wystawie krajowej lwowskiej.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYŃSKA.

Londyn 10 maja.

(Łyżwujmy! Nowości literackie i teatralne. Koncert Paderewskiego).

Gdybym o wszystkiem co się tu obecnie czyta, słyszy i ogląda, co się czuje i myśli miał napisać słów pięć, zadrukowalibyście cały „Przegląd“ i podpisali w końcu d. c. n.

Nie potrzeba bowiem zaręczać, że w naszem pięciomilionowem miasteczku, prócz reklam na ulicach czytać można codziennie kilka świeżych książek, słyszeć, prócz bembnów Armii Zbawienia, przeróżnych innych instrumentów tony i oglądać prócz szyldów wspaniałych public-hous'ów, czyli traktyerni setki yard'ów zamalowanego płótna. Cóż dopiero stałoby się z nami, gdybyśmy wpadli wyżej uszu i oczu w bezdenne, tajemnicze wody myśli i uczuć?.... Nie! nie! boję się głębin, i proponuję abyśmy zabawili się po kronikarsku w ślizganie. Nie ma nic nad ślizgawkę! Lekko, mile i szybko przebywa się znaczne przestrzenie i, zwłaszcza jeśli ma się dużo szyku i pewne nogi, pozostawia daleko po za sobą tych trutniów, którzy zamiast puścić się wymiecionym torem mozolnie zabierają się do niewdzięcznego torowania drogi przez niebotyczne śniegi. Sport ten u was, w mieście cywilizowanem, kwitnąć musi nawet wtenczas gdy lody potopnieją. Jeźli zaś nie.... takim przypuszczeniem nikogo obrazić nie śmiałbym.

Od sportu przejdźmy do książek. Wierszy mieliśmy tu w ubiegłym półroczu mnóstwo. Bibuła i czytelnicy cierpliwi i pobłażliwi w oczekiwaniu narodzenia się poety, któryby zajął opróżniony po Tennysonie olympijski fotel, wawrzynami i złotem szczodrze wykładany. O dawniejszych firmach, jak n. p. Morris'ie, Swinburn'ie nie wspominam, zresztą głucho o nich, zaznaczę tylko ukazanie się wiązki poezyi Ryduarda Kipling'a, który swemi nowelkami zdobył szturmem Europę trafiając w sedno słabej stony dzisiejszych: pragnienie nowości. Jeźli z trudnością by nam przyszło wskazać nowelistę z tą samą marką, to zpewnością takie poezye Kipling'a są jedynemi w swym rodzaju w Anglii. Są to po największej części pieśni wojskowe, porywające swem życiem, lekkie, ulotne, uderzające w strunę wesołą i wielce patryotyczną. Mianowicie wierszyk na cześć popularnego generała Robertsa p. t. Bobs — zachwyca jaknajszersze koła. Jeżeli przyjdzie ochota znakomitemu noweliście — a musi to być tylko kwestyą czasu — popłynąć innem korytem, sądzę, że powtórzy się historya z Mascagnim t. j. wyda, że się wdał w nie swoje rzeczy.

Uprzedzając przysięgłych krytyków wspomnę o kończącej się w jednym z magazynów powieści seniora autorów angielskich, Jerzego Meredith'a.

Prezes towarzystwa literackiego jest zarówno nad Wartą jak i nad Wisłą nieznaną potęgą, dlatego zwłaszcza, że nie — łyżwuje po wierzchu. Jest to pisarz tak na wskroś angielski, tak głęboko myślący, tak wiele z swej artystycznej duszy wkładający w każde zdanie, że rozumiem dla czego żadne z dzieł jego nie dostało się pod pióro jakiej „tłomaczącej“ pani lub panny. Nie jest to pisarz dla galeryi i nad Tamizą nawet ogół zbywa go zwykle avec une mention honorable w obawie powiedzenia o nim głupstwa lub wykazania nieznajomości. Ostatnia powieść „autora autorów“ p. t. „Lord Ormond i jego Aminta“ jest wszakże dużo popularniejszą. Cóż to za cudowny obraz angielskiego społeczeństwa z przed lat sześćdziesięciu! Jak plastycznie występują typowe postacie!

Lecz wpadam w entuzyazm, a to dziś wyszło z mody. Aby nie narazić się na pokusę przedstawiam wam panią Dodo (powieść p. E. F. Reusona). Nie będąc od dawna w grodzie Piastów, nie wiem czy takie interesujące niewiasty fin de siècle promenują obecnie po placu Wilhelmowskim ku nieszczęściu bogatych „epuzerów“, a zgorszeniu matron i urzędowych plotkarek. Otóż my tu zachwycamy się wszyscy ową Dodo, nie Dodo jako kobietę t. j. emancypowaną egoistką à l'americaine, lecz Dodo jako typem. Niezawodnie zobaczycie ją w polskiej sukience przez co jednakże nie przestanie być ona typem specyficznie angielskiej kobiety, która wdzięki swe i modne wady wymienia na rynku matrymonialnym na tytuł, majątek i stanowisko, dla której świat jest ucztą, ludzie pachołkami, własne ja bóstwem. Możnaby o niej powiedzieć co Chamfort twierdzi o kobietach wogóle: elle est faite pour commencer avec nos faiblesses, avec notre folie, mais non avec notre raison.

W teatrze dzieją się dziwne rzeczy. Nie mam na myśli mówiąc o teatrze ani trywialnych fars, ani dziecinnych melodramatów ani wreszcie wspaniałych (jak mówią aktorzy) spektakli jak n. p. Konstantynopol. Przestaliśmy się bowiem dziwić temu, że w Olympii można zwiedzać miasta. Obecnie za przyczyną amerykańskiego żyda pana Kiralfie, znajdujemy się w oczyszczonem z śmieci, brudów i psów Stambule, przyglądamy najprawdziwszym Turkom (ktoś złośliwy twierdzi, że z londyńskiego Whitechapel'u), pałacom i haremom, do których wpuszczają za opłatą jednego szylinga, chociaż nie broni się nikomu wydać więcej, bo pomiędzy jednym a drugim baletem można pokrzepić się w ormiańskim bazarze kieliszkiem whisky. Lecz mniejsza o Turków. Poważna Melpomena przywdziała realistyczną spódniczkę zrobioną według paryskiego żurnalu. Filistrzy, którzy lat temu dwadzieścia byliby rzucili anatema na pana Pinczo i jego, nie jego lecz „Pana Tanqueray drugą żonę“, dziś kupują bilety, biją brawo i robią owacye autorowi. Niewinny to człowiek zresztą. Wiedzieliśmy o nim dotychczas, że ma trochę za długi nos i za dużą łysinę, ale nikt nie byłby pomówił go o za długi język. Pisał sobie farsy, czasem dobre (n. p. the Schoolmistress), czasem liche (n. p. the Amazons.) za które zgarnął głupie stopię ziesiąt tysięcy f. szt. Aż tu naraz wydało się, że wie on o istnieniu kobiet „półświatowych“ i wie o licznych małżeństwach lordów z tą klasą kobiet. I napisał wyborny dramat dumasowski, który dawano około półtora roku z rzędu. Radość ogólna! Cieszył się pan Aleksander dyrektor teatru St. James, że pochwycił grubą rybę, cieszył pan Artur Pinczo, cieszyła sztywna i konwencyonalna literatura dramatyczna zdobyczą perły. Myśl przewodnia tej sztuki, jaką jest wykazanie, że związek pomiędzy kobietą z czarną przeszłością, chociażby w gruncie dobrą, a inteligentnym i zacnym mężczyzną nie wiedzie do szczęścia, góruje ponad zagadnieniami społeczno-psychologicznemi Dumassa swą realnością. Takie osoby jak Dama kameliowa lub Dyoniza, wraz z całą fabułą odnośnych sztuk, są bądź co bądź wyjątkowemi zjawiskami i doniosłości takich kwestyi szukać trzeba gdzieindziej. Tymczasem Paula pana Pinczo, jej mał-

żeństwo z pełnym taktu i serca panem Tanqueray, jej stosunek do męża, jego córki i całego, zasadami przesiąkłego otoczenia i wynikająca z tego kolizya uczuć i popędów — toć to rzeczy wyrwane z codziennego życia dzisiejszego angielskiego społeczeństwa. „Druga żona pana Tanqueray“, dzieło artysty, dramaturga i obywatela, jest cennym nabytkiem z tego także powodu, że sztukę dramatyczną tutejszą wiedzie na nowe, właściwe tory, wskazuje jej nowe horyzonty. Że dramat ten zrobił olbrzymie wrażenie, nic dziwnego. Wpłynęło na to kilka powodów przeróżnej natury. Przejadły się John Bull'owi przeróbki i konwencyonalne płody tak bardzo, że krytycy poczęli kiwać głowami zafrasowani i debatować, czy sztuka dramatyczna nie przeżyła się. Pokazuje się atoli, że to nie sztuka dramatyczna przeżyła się lecz stare jej formy. My ludzie wielbiący Wagnera, przyjmujący Zolę z owacyami (kto by to był myślał?), wielbiący „Barabasza“ panny Corelli, jednem słowem „zmodenrizowani“, umieliśmy zapragnąć naturalnym biegiem rzeczy, jędrniejszej strawy umysłowej w teatrze.

Laury pana Pinczo nie dały spać panu Arturowi Jones, który nie ma nic wspólnego prócz imienia z twórcą Pauli. Podziwiamy jedynie pana J. doskonałe chęci i — aplomb. Nie wachał się on rzucić jak z motyką na słońce na Fausta Goethego i białym a ciekim wierszykiem napisać sztukę p. t. The Tempter, której nawet wyborna gra pana Tree uratować nie mogła. Istotnie trzeba dużej dozy zarozumiałości, aby swe poglądy filozoficzne, powiedzmy lepiej swe płytkie i ciasne widzimisię wyciągać z ubogiej skrzynki na widok publiczny. Poprzednio wystawił komedyą p. t. Skład zabawek. — tytuł, który z dodatkiem: głupich, stanowi ocenę sztuki. Ale to wszystko płaci, a o cóż zresztą chodzi? Zapytany kiedyś autor, jak zadowolniony jest z przedstawienia, znalazł taką odpowiedź tylko: „business is splendid“ (interes idzie sławnie), co dziwnem wydawało się reporterowi. Aby zobaczyć ten lukratywny skład zabawek, namówiła mnie pewna wielka „Lady“, którą miałem zawsze za kobietę nader inteligentną. Wiele jednak wody upłynie zanim te wielkie „Ladies“ nauczą się rozróżniać szarlatanów od artystów.

Otóż tedy ów p. J. pragnąc zmierzyć się na pióra z p. Pinczo, wystawia dziś nowy swój płód: The Masqueraders (Zamaskowani), ktyry jak reklama trąbi, jest pendant do „Drugiej żony p. Tanqueray“. O tej komedyi powiem słów parę w następnym liście. Dziś zaznaczam tylko jeszcze z dziedziny teatru, przeróbkę z Oktawu Feuillet'a romansiusza: Montjoye, którą zawdzięczamy użytecznemu pisarzowi scenicznemu p. Sydney Grundy. „Bukiecik fiołków“ wystawia teatr Haymarket, który nie miał powodzenia z znanym nad Sprewą dobrze dramatem „Der Talisman“.

Od połowy maja będzie Londyn miał włoską operę na dwa miesiące i ulubieńców swych Jana i Edwarda Reszków. Zanim to nastąpi otworzą się podwoje królewskiej akademii sztuk pięknych, gdzie będziemy mieli sposobność podziwiać piękną płeć i twarze Angielek, studyować najnowsze mody, wysztuchać się w natłoku, no i rzucić okiem na jeden lub drugi z tysiąc pięćset obrazów. Jesteśmy w przededniu — sezonu.

Pour la bonne bouche słów parę o występie Paderewskiego na konkursie filharmonicznym w nowej sali: Queen's Hall. Koncert ten wprawdzie odbędzie się dopiero 12go maja, lecz podejmuję się śmiało opowiedzieć wam jak podobał się twórca „polskiej fantazyi“, chociaż nie roszczę sobie pretensyi do jasnowidzenia i przeczucia nawet mnie mylą. Otóż rzecz się miała albo będzie miała jak następuje:

Sala wypchana szczelnie. Gra mistrza (chociażby przyszła mu ochota grać jednym palcem) uznana ogólnie za najznakomitszą pod słońcem. Burza oklasków. Ukazuje się lwia grzywa artysty. Ta operacya powtarza się dwa razy, poczem — encore. Nowa burza i temperatura Anglików podnosi się. Znowu ukazuje się czupryna muzyka i ma zniknąć lecz . . . . Damy mówią veto, rzucają się na estradę, ciągną za rękawy i poły surduta jego tak długo aż on zdając się na łaskę i niełaskę płci pięknej, potulny jak baranek siądzie do złoconego klawikordu (wart tysiąc f. szt.!!) i zagra — walca Chopina. Hałas i oklaski w dalszym ciągu, aż do skutku t. j., aż P. nie drapnie na obiad.

Nobody.

KRONIKA BERLIŃSKA.

15 maja.

(Obchód rocznicy 3 maja Tow. Naukowego Polaków w Berlinie.)

Skończyła się poważniejsza sześć uroczystości i młodzież skupiła się ochoczo około prezesa „fidulitatis“, aby przy piwie, przy śpiewach i żartach wynagrodzić sobie długie trzy godziny spędzone w poważnym nastroju ducha, zabawić się i poszaleć.

Zwyczaj ten od wielu lat przyjęty i zakorzeniony tak głęboko, że nikogo bodaj już nie razi kontrast poważnych przemówień i patryotycznych śpiewów do płytkiej, chociaż serdecznej zabawy, pijatyki, płaskich dowcipów i piwnych pojedynków. Może też nie ma w tem nic złego, może moje nerwy tylko nieco podrażnione i zbyt delikatne; dość, że na mnie przykro zawsze działa taka nagła zmiana nastroju umysłowego i na widok zapału, z jakim młodzież nasza zrzuca z twarzy poważne fałdy namaszczenia i wpada nagle w lekki ton zabawy, zdaje mi się, jak gdyby czekała od dawna na hasło „fidulitas“! i poprzednia jej powaga była tylko komedyą...

Jest to może przywidzenie, ale to pewna, że zwyczaj ten sprzeciwia się celom obchodów narodowych, zacierając w sercach co dopiero obudzone poczucie narodowych obowiązków i wspomnienie poważnych chwil przeszłości. Rocznica staje się niejako pretekstem zabawy, i z wracających o 3 lub 4 nocą z ciężką głową do domu, mało który myśli o narodzie, a każdemu dźwięczą w uczach wesołe melodye, dowcipy, „sielanki“.

Korzystając z ogólnego zamieszania przy zmianie miejsc, wyrazu twarzy i humoru, wysunąłem się niepostrzeżenie z sali.

Nad głową moją unosiła się fala harmonijnych tonów „Cracovienne“ Rubinsteina, odegranej z prawdziwym artyzmem przez jednego z młodych akademików i zlewała się w jedno ze słowami „Excelsior“ J. Kasprowicza w przepysznej deklamacyi pana L. Cały ból przeszłości zbroczonej bezskutecznie krwią narodu i dzika rozpacz na widok zagonów usuwających się z pod nóg naszych dla własnych win naszych wpiła mi się w duszę ostrymi pazury, niewidzialne kleszcze ściskały mi gardło żelaznym uściskiem, a jak syk wężów brzmiał mi w uszach zastygający jęk deklamatora „Excelsior“. O Boże! Boże!...

Wypadłem na ulicę; owionął mnie nocny chłód majowy, otoczył szum i hałas stolicy, a w oczy zajrzały ciekawie elektryczne światła.

Odetchnąłem. Uspokoił się chaos mych myśli i wrażeń i ustąpił miejsca spokojnej refleksyi.

Tak... uroczystość była świetna, spokojna, poważna. To nie była komedya, to był zapał niekłamany, przejęcie się głębokie powagą uroczystych chwil przeszłości. Tylko prawdziwy zapał umie tak przemawiać do serca słowem, śpiewem, muzyką, tylko zapał wzniesiony do wysokości extazy mógł tak szarpać duszę i krająć w kawały, ukoić znów nadzieją szczęśliwszej przyszłości i porwać do góry, excelsior!...

Tak... młodzieży naszej nie obumarły jeszcze serca na to, co dobre i piękne i wzniosłe, wiele w niej życia, wiele dobrych chęci... a jednak smutno mi było, w poważnej harmonii odczuwać dysonans.

Najważniejszą część uroczystości stanowił, jak zwykle odczyt, i w nim okazała się właśnie fałszywa nuta, Na obchodzie urządzonym przez Towarzystwo Naukowe należało się spodziewać rozprawy jeśli już nie oryginalnej, to przynajmniej zgodnej z ostatnimi wynikami badań krytyczno-historycznych. Tem większe było moje zdziwienie, gdy prelegent obrawszy sobie za temat obronę konstytucyi przeciw robionym jej z różnych stron zarzutom, trzy czwarte całej rozprewy poświęcił na wykazanie, że „konstytucya nie przyszła zapóźno“.

Pomijając już bezkrytyczność takiego zapatrywania — bo w historyi nie ma „gdyby“, i sam fakt, że konstytucya mimo swych niezaprzeczonych zalet nie zdołała już uratować ginącej Rzeczypospolitej, dowodzi, że przyszła w rzeczywistości zapóźno — starał się prelegent dowieść, że ogół narodu już od połowy XVII wieku starał się usilnie o naprawę Rzeczypospolitej, a staraniom tym stały tylko na przeszkodzie chwilowe położenie kraju i knowania państw ościennych.

Opierając się na powierzchownem i niekrytycznem dziele K. Hoffmana „Historya reform politycznych w dawnej Polsce“ i identyfikując bardzo nieliczną garstkę lepiej myślących z ogromną masą zacofanego i samolubnego społeczeństwa, nie znajduje on w szlachcie XVII i XVIII wieku żadnej winy wobec ojczyzny, leez same tylko dobre chęci, ofiarność i poświęcenie własnego dobra dla dobra kraju. Fatalizm jakiś ciąży nad polskim narodem i nie pozwala mu wprowadzić w życie wzniosłych jego zamiarów, a za Augusta II wybiera sobie to złowrogie fatum za narzędzie wrogich naszych sąsiadów!!

Oto mniej więcej myśl przewodnia całej rozprawy. Był to policzek bolesny, wymierzony w najlepszej wierze poważnej krytyce historycznej ostatnich lat dwudziestu — a jednak przyjęto odczyt salwą grzmiących oklasków i dziękowano prelegentowi z uznaniem za obronę tego, co nigdy nie da się obronić ani uniewinnić!

Okazało się, że tej młodzieży, która hasło wiedzy wypisała na swych sztandarach, wyniki ostatnich badań nad historyą polską są zupełnie nieznane, że ona opiera się zawsze jeszcze na dawno zarzuconych w świecie naukowym poglądach szkoły Lelewelowskiej, na dziełach Moraczewskich, Mochnackich, Hoffmanów i im podobnych historyków...

Nie można wymagać, aby młodzież akademicka obok swej zawodowej nauki, zajmowała się jeszcze krytycznem studium historyi, ale to wymagać trzeba, aby zapoznała się z dziełami, streszczającymi wynik ostatnich badań naukowych i na nich oparta, wyrobiła sobie taki pogląd na rozwój historyi, który odpowiada obecnemu stanowi nauki. Towarzystwo naukowe posiada dość bogatą bibliotekę. Czyżby pomiędzy temi tysiącami ksiąg nie miał się znaleźć ani jeden egzemplarz znanego dziełka Bobrzyńskiego, lub Szujskiego „Dziejów Polski?!...“

Nie urągać nam winom naszych przodków, nie szydzić nam z plam na sukni naszej matki; ale otrząsnąć trzeba się z płaczu i skargi, w którą zakuła nas smętna historyografia ubiegłych pokoleń, zrzucić z twarzy obłudną maskę niewinnej ofiary cierpiącej w imię idei poświęcenia, poznać trzeba nam winy naszej przeszłości i unikać ich w życiu, aby nikt nie miał prawa powiedzieć nam szyderczego: „Nie zapomnieli i nie nauczyli się niczego przez sto lat niewoli!“

Historya narodów, to nie igraszka losów, to łańcuch przyczyn i nieuniknionych ich skutków. W rękach naszych własnych leży przyszłość nasza — ale jakże nam postępować w życiu, jeżeliśmy nie nauczyli się niczego z smutnej historyi przeszłości!

Goły zapał i gorące serca nie zbawią nas same; czynów nam trzeba i światła, więcej światła!

J. J.

KRONIKA LITERACKA.

— Aureli Urbański: Z za kulis i ze świata. Szkice, obrazki, humoreski. Złotów. Nakładem Zukerkandla. 1694.

Dramaturg nasz i poeta Aureli Urbański wyzyskał w tym tomiku swoje doświadczenia i obserwacye teatralne i tem wypełnił pierwszą tylko część tytułu: „Z za kulis“. Ze świata nic niema na razie. Są to szkice humorystyczne, opisujące (z wyjątkiem pierwszego, który zajmuje się sceną stolicy) stosunki teatrów prowincyonalnych. Zdaje mi się, że znamy je doskonale; śmialiśmy się już nieraz z tych komicznych sprzeczności, jaki tworzy powaga i patetyczność sztuki, w śmiesznie narwanem otoczeniu chłopów, żydów i karczm, tragiczny monolog Hamleta z beczeniem cielęcia w stodole. Przyznam się, że jakkolwiek podziwiam wielostronność pisarską Urbańskiego, nie mogę dopatrzyć się w nowym tomiku żadnego świeżego rysu. Z tem wszystkiem pisane są obrazki jego z werwą i humorystycznem zacięciem, stylowo wytwornie i pięknie, a należałyby niewątpliwie do lepszych naszych produktów humorystycznych, gdyby czasami nie dawała się uczuć pewna sztuczność i wysilony dowcip. Bo... bd...

* * *

— Wincenty Kosiakiewcz. „Władek“. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1894.

Jest to kartka wycięta z życia chłopczyka uczęszczającego do drugiej klasy gimnazyalnej w Warszawie, przy którym rysują się postacie jego kolegów i znajomych, także malców, należących do rozmaitych sfer społecznych, to na tle krajobrazów wiejskich i leśnych (wakacye), to wśród murów i ścian ulicznych, podwórzowych (miasto.) Obok tego, na drugim planie, rozwija się niezmiernie kunsztownie i z wielką wytwornością faktury pisarskiej szkicowany dramacik, w którym główne role grają matka i ojciec małego bohatera. Całość prześliczna, nowa, świeża. Psychologia nieskomplikowana dusz dziecięcych wyborna; budowa powieści, aczkolwiek oryginalna — wytrzymuje wszelkie zestawienia i porównania z klasycznym szablonem; dyalog żywy i interesujący, chociaż upstrzony często wyrażeniami niezupełnie dla przeciętnego czytelnika zrozumiałemi; język tu i owdzie mógłby być poprawniejszy i podniesiony w szlachetniejsze sfery stylu. Drobne te wady nie mogą jednak zaćmić niezaprzeczonych, wielkich zalet nader sympatycznego utworu, kreślonego piórem artysty, natchnionego jakimś szlachetnym, a na wskroś idealnym impresyonizmem.

KRONIKA POWSZECHNA.

— W najświeższym zeszycie „Świata“ znajduje się reprodukcya interesującego obrazu Kotsisa p. t. Venus i Amor. Obraz ten posiada swoją legendę. Bliscy znajomi nieodżałowanego artysty twierdzą, że za model do tej pięknej kreacyi służyła mu jedna z najznakomitszych polskich artystek dramatycznych i jej malutki synek. Podobieństwo po dziś dzień jest widocznem.

— Po powrocie do zdrowia Eliza Orzeszkowa zabrała się z gorączkowem zapałem do pracy. Owocem tej pracy są trzy większe powieści. Pierwsza najobszerniejsza, nosi tytuł „Australczyk“ i ukaże się rówcześnie w petersburskim „Kraju“, w przekładzie rosyjskim w miesięczniku „Wiestnik Jewropy“ i w niemieckiej „Neue freie Presse.“ Druga drukowaną ma być w jednym z tygodników warszawskich p. t. „Pieśń przerwana“ i w tłomaczeniu niemieckiem w „Cotta'ische Roman-Zeitung.“ Trzecia zwie się „Bracia“ — i o ile wiadomo — przeznaczoną jest do „Ateneum“. Nadto znakomita autorka przygotowuje do druku powieść dla „Kuryera Warszawskiego“ i nowelle dla „Swiata“ i „Przeglądu Poznańskiego.“

— Dwutygodnik paryski „Revue d' art dramatique“ pomieścił obszerne studyum o ostatnich najświeższych utworach teatru polskiego, przez Kazimierza Zalewskiego.

— Maryan Gawalewicz wygłosił w Warszawie cykl odczytów o „Królowej niebios.“ W całości swej pięknej pracy odtworzył utalentowany pisarz wszystkie przejawy kultu Matki Boskiej u ludu polskiego. Pierwsza prelekcya poświęcona była podaniom o pobycie Najśw. P. Maryi na ziemi, w dalszym autor „Ćmy“ i „Mechesów“ odmalował wierzenia wieśniaków naszych o promieniowaniu świętej postaci. W odszukaniu źródeł do tych legend dopomogli prelegentowi: Eliza Orzeszkowa, Dr. Jan Karłowicz, L. Jastrzębski i inni. Jak dzienniki warszawskie zapewniają, Gawalewicz umiał spożytkować „czarodziejską“ fantazyę ludową z taką prostotą i z takiem zarazem bogactwem słowa, iż jego odczyty można postawić obok znanych cudnych obrazów Piotra Stachiewicza, noszących nazwę ogólną: „Legenda o Matce Boskiej.“ Zestawienia tego dokona wkrótce książka, w której dzieło artysty i dzieło poety ukaże się razem, tworząc uroczą i zajmującą całość.

— „Słowo“ donosi, że pan Glickson, były dyrektor teatru krakowskiego, objął dyrekcyą teatru w Łodzi.

— „Czas“ krakowski ogłosił jak wiadomo konkurs na napisanie nowelli, szkicu literackiego lub w ogóle „feljetonu.“ Termin konkursu upłynął 15 maja. Nadesłano ogółem prac 84.

— Znakomity architekt Paweł Wallot, twórca wspaniałego gmachu parlamentu niemieckiego, mianowany został profesorem architektury, przy akademii sztuk pięknych w Dreźnie.

— Edward Rod, którego sylwetkę literacką zamieściliśmy w Nr. 6 i 7 „Przeglądu Pozn.“ ogłosił w majowym zeszycie „Figaro illustré“ interesującą nowelę, której bohaterką jest Polska zawikłana w miłosne intrygi.

— Trzyaktowy dramat Edwarda Engla „Der Hexenkessel“ grany z niezwykłem powodzeniem w Wrocławiu, przyjęty został do repertuaru berlińskiego „Lessingtheater“ i ujrzy tam w przyszłym sezonie zimowym światło kinkietów.

„Théâtre libre“ pana Antoine bawi obecnie w Carogrodzie, gdzie z wielkiem powodzeniem wystawił komedye „Blanchette“ i „Un bean soir.“

— Niedawno wystawiono w Sukiennicach obraz p. Wł. Rossowskiego „Św. Kinga,“ przeznaczony do kościoła parafialnego w Bochni. Autor „Skazanej“ poświęcił się w ostatnich czasach nieomal wyłącznie malarstwu kościelnemu i do chlubnych na tem polu doszedł rezultatów. Wspomniany obraz świętej królowej, patronki Gwarków, związanej ściśle legendą z dziejami kopalń bocheńskich i wielickich celuje nadzwyczajną prostotą i podniosłością. W sobolowym kołpaku na głowie, w białej szacie, z oczyma wzniesionemi w ekstazie religijnej ku niebu, stoi Kinga pomiędzy dwiema liljami, przed bryłami soli, z których wydobyty iskrzy się pierścień brylantowy. Bawiący w Krakowie Anglik p. Jones Seymour tak rozmiłował się w pracy Rossowskiego, iż zamówił sobie jej duplikat.

— Najstarszy uniwersytet w świecie założony został w Fez, w Maroko, w XI stuleciu. Uniwersytet ten był przez długi czas ogniskiem oświaty dla chrześcijan i arabów. Równocześnie z Francuzami i Anglikami kształcili się tam i Egipcyanie i inne narody północnej Afryki. Po założeniu uniwersytetów w Paryżu, Oksfordzie i Cambridge, element chrześcijański usunął się, ale do dziś dnia uniwersytet w Fez jest ogniskiem teologii muzułmańskiej.

— Znana komedyopisarka czeska Tekla Nahlowska napisała nowy utwór sceniczny p. t. „Socyalista.“ Sztuka ta wystawiona będzie tymi dniami w jednym z teatrów pragskich. Autorka w swym utworze najnowszym pozostaje wierną kierunkowi raz obranemu. „Socyalista“ ma tendencyę społeczną i ma być krytyką stosunków obecnych. Sztuka napisana jest w czterech aktach.

— Literatura polska u Słowian. Wychodzący we Lwowie w języku rusińskim „Hałyczanin“ drukuje w odcinku powieść Dygasińskiego; „Ojciec i syn.“ Powieść tłomaczy znany literat rusiński Lubicki. — Nakładem „Maticy slovenskiej“ w Lublanie wyszła poraz pierwszy w tłomaczeniu słowińskiem powieść Sienkiewicza: „Ogniem i mieczem.“

— Dla uczczenia pamięci Michała Hórnika patryarchy serbsko-łużyckiego ruchu narodowego postanowiło walne zebranie „Maticy serbskiej“ w Budziszynie, ażeby w nowym „Domu Narodnym“ urządzono pokój Hornika, w którym złożone będą pamiątki i rzeczy mające jakąkolwiek z patryotą łużyckim styczność. Zebranie to odbyło się po Świątkach Zielonych. Redaktor i wydawca łużyckiego miesięcznika Ernest Muka wzywa redakcye pism słowiańskich, aby na jego ręce przesyłano artykuły, odnoszące się do zgasłego patryoty. Adres ma być następujący: Ernst Muka. Gymnasial-Oberlehrer Freiberg Sachsen.

— W ruskich miesięcznikach tegorocznych zamieszczono kilka prac nas bliżej interesujących. I tak w moskiewskiej „Ruskiej Myśli“ znajdujemy obszerną rozprawę A. Korniłowa p. t. „Losy reformy włościańskiej w Królestwie polskiem,“ tudzież przekład „Sonetów“ Juljana Łętowskiego. Miesięcznik „Ruskoje Obozrenje“ drukuje artykuł p. Kiriejewa p. t. „Kwestya polska,“ zaś „Ruskij Wiestnik,“ organ F. Berga rozpoczął druk opowiadania D. Pozniaka p. t. „Poświęcony, gdzie w sposób nieco karykaturalny przedstawione są stosunki ziemian pochodzenia polskiego w kraju zachodnim.

— Dwutygodnik lwowski „Słowo polskie“ wyraża się o „Przeglądzie poznańskim“ w sposób następujący: „Nowo założone pismo tygodniowe, jakkolwiek ujrzało świat boży w niefortunny dzień 1. kwietnia, trzyma się dotąd czerstwo i zdrowo, i jest nadzieja, że wyrośnie na tęgiego herolda szczerze postępowych idei u nas, a zdaje się, że nie przeszkodzi mu w tem ta okoliczność, że się urodziło już kapitalistą, jak na nasze stosunki dość nawet zamożnym. Około pisma zgromadziła się wprawdzie, jak dotąd, szczupła garstka ludzi, tak, że jeden ze złośliwych jego nieprzyjaciół zarzęcał mi kiedyś, że „Przegląd Poznański“ lewem okiem tylko patrzy z Poznania, a prawem z Warszawy. Choćby jednak i tak było, tej drobnej garstce ludzi już dzisiaj trudno odmówić dobrych chęci, zdolności i, co najważniejsza, odwagi w wypowiadaniu przekonań swoich. Tej odwagi i śmiałości nigdy u nas nie może być za mało! Chyba w żadnem innem społeczeństwie niema tak wielkiego abecadła dogmatów i dogmacików, jak w Poznańskiem, a których byłby chyba już wielki czas choć z połowę przetrzebić.“

Zeszyt II tomu IV „Wydawnictwa materyałów do historyi powstania 1863—1864“ zawiera obszerną rozprawę p. t. „Romuald Traugutt i jego dyktatura“. Jest to ciepła i barwna charakterystyka jednej z najpiękniejszych postaci ostatniego powstania.

— Śp. Władysławowi Mottemu, zdolnemu rysownikowi i poecie, a przedstawicielowi najszlachetniejszych uczuć obywatelskich, poświęciły niemal wszystkie pisma warszawskie i galicyjskie chlubne wspomnienia pośmiertne. „Tygodnik Ilustrowany“ i „Echo muzyczne“ zamieściły portret przedwcześnie zmarłego artysty.

Zmarli:

Helena Wisłobocka, artystka-malarka, znana pod pseudonimem Emilii Helon. Malowała przeważnie portrety i obrazy rodzajowe.

Emanuel Züngel, literat, poeta i tłomacz czeski.

Teodor Stenzel, pastor, historyk i numizmatyk, autor prac o monetach średniowiecznych.

Dr. Agust Klipstein, niegdyś profesor uniwersytetu w Giessen, znany mineralog.

Kazimierz hr. Drohojewski, wzorowy ziemianin, miłośnik literatury i sztuk pięknych. Zmarł we Lwowie, lat 59.

BIBLIOGRAFJA.

— Wojciech Szukiewicz. Górne-Szląsko, szkic z chwili bieżącej. Kraków 1894. Cena 0,60 mr.

— Ernest Sulimczyk Świeżawski. Esterka i inne kobiety Kazimierza Wielkiego. Warszawa 1894. Cena 2,50 mr.

— Marya Czesława Przewóska. Fryderyk Nietsche jako moralista i krytyk. Warszawa 1894. Cena 1,00 mr.

— Roy Tellet. Kropla wody letejskiej. Powieść. Przekład z angielskiego M. Faleńskiej. Warszawa 1894. Cena 2,50 mr.

— Karol Baudelaire. Kwiaty grzechu; z życiorysem autora. Przełożyli z francuzkiego Adam M-ski i A. Lange. Warszawa 1894. Cena 1,20 mr.

— Ossip Szubin. Finis Poloniae. Roman. Dresden 1894. Cana 3,50 mr.

— Dr. A. Steckert. Un Hohenzollern candidat au trône de Pologne (1421—1446). Paris 1894.

— Antoni Pilecki. Miłość w poezyi romantycznej. Warszawa 1894. Cena 0,75 mr.

— Z. Łasińska. Szkice i obrazki z życia. Poznań 1894.

— Maryan Gawalewicz. Mechesy, powieść druga. Warszawa 1894. Cena 5,00 mr.

— Karol Klecki. Badania doświadczalne nad sprawą wydzielania w jelicie cienkiem. Kraków 1894.

— Adolf Dygasiński. Gorzałka. Powieść. Tom I—IV. Warszawa 1894. Cena 5,00 mr.

— Wilhelm Feldmann. O Tadeuszu Kościuszce i Berku Joselowiczu. Kraków 1894. Cena 0,12 mr.

— M. Braddon. Z biegiem fal. Powieść. Przekład z angielskiego. Warszawa 1894.

— Jednodniówka w setną rocznicę na cele Tow. szkoły ludowej. Kraków 1894. Nakładem Koła pań polskich.

— M. Wołowski. Garść monologów. Warszawa 1894. Cena 1,50 mr.

— Dr. Karol Werner. Bezsenność i środki nasenne. Przekład dr. J. Starkmana. Warszawa 1894. Cena 1,50 mr.

— N. Urbanowski. Wspomnienie o wyższej szkole rólniczej im. Haliny w Żabikowie. Poznań 1894.

— Dr. L. Wachholz. O obłąkaniu moralnem ze stanowiska antropologii kryminalnej. Kraków 1894.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Ciekawemu. Osoba, o którą pan zapytujesz, nie ogłosiła żadnego utworu literackiego. Artykuły jej dziennikarskie ukazują się bardzo rzadko i dotyczą wyłącznie miejscowych stosunków. Forma ich banalna, argumentacya słaba.

— Liwiuszowi. W poezyach nadesłanych są przebłyski talentu. Prosimy o więcej próbek.

— Niedyskretnemu (stempel pocztowy „Nowy Tomyśl“). Cóż nas obchodzić mogą urągania „czerwonego nosa“, nie posiadającego według własnej opinii Pańskiej żadnych kwalifikacyi umysłowych.

— Niedyskretnemu (stempel pocztowy „Czempiń“). Skorzystamy przy sposobności w feljetonie.

Sprostowanie.

— Do numeru 7 wkradła się następująca omyłka: Na stronnicy 8, w łamie 3, wierszu 15 i 16 czytać należy zamiast „w III klasie czyli II klasie“ — „w III kursie czyli II klasie.“

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.